№ 27 Warszawa, dnia 21 Czerwca (3 Lipca) roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresowac prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

JEZIORO TELLA*)

przez

Bogumiła Aspisa.

PANU BAZYLEMU BIAŁOZIERSKIEMU

w dowód czci serdecznej, żywionej dla wiedzy Jego i charakteru od lat już wielu,

poświęca

AUTOR.

Czar był przed nami—i czar za nami—
I czar w koło nas... I wszyscyśmy byli
Jak w sen zaklęci—o wieczornej chwili—
Na falach—myślą płynąc w niebo sami.

Woda jeziora była, jako smuga
Łąki, wiosenną umajonej trawą—
Oskrzona łuną promieni jaskrawą
Lśniła, jak sztaba malachitu długa.—

Brzegi jej piana bieliła śnieżysta,
Ujmując całą niby w srebrne ramy,
Że nam się zdało, iż przed sobą mamy
Obraz, co rzucił na fale artysta.

Złociste rybki ciekawe: kto płynie?
Otwarte oczy wychylały z toni
I, w żywych skokach popluskawszy po niej,
Znikały szybko napowrót w głębinie.—

Po nad tem wszystkiem w ciszę marmurową
Zdrętwione niebo—z krwawem tylko kołem
Słońca u skraju—nad całym padołem
Milcząc—łyskało wyżą lazurową!

Lecz woda—słońce—i blaski wieczora,
I śliczny lazur rozpięty u góry,
I wszystkie, wszystkie niebieskie lazury,
Nikły przed pięknem cudnych ścian jeziora!

Olbrzymie gmachy, przez Boga wzniesione
Odrazu jednym wydźwigiem wulkanu,
Wyszły z przepaści bez ładu—bez planu—
I postawały nad wodą zdumione.

„Co to jest?—pyta zda się góra góry—
„Ten zlew u stóp mych fal zielonobiały?"
I zła, że siostry nie odpowiadały,
Szczyt rozczochrany odwróciła w chmury!

Tam jej już żaden piorun nie przestraszy,
Ani przestraszy błyskawica jasna...
Wie ona dobrze: czem jest jej moc własna,
Pod słońcem bożem, na tej ziemi naszej!

Przejdą stulecia—po ziemi śmierć sięgdzie—
Zginie co tylko było życiem na niej—
Grody wraz z ludźmi zapadną w otchłani,
A ona, dziwo—jak stała, stać będzie!

Toż i ujęły te skalne olbrzymy,
W szeregi swoje toń tych wód swawolną,
I tak ją zewsząd obwiązały, wolną,
Jak burzę pieśni wiążą w akkord—rymy.

Oj! bo też pieśnią gra zamęt tej wody
I szereg skał tych przed marzeniem duszy!
Jak harfa grają... Że orkan nie zgłuszy
Ich dźwięków... zdala słyszą je narody!

Jeden dźwięk woła: „Jam Boża potęga!
„Otom opoki wzniosła w jednej chwili!"
Drugi: „Jam piękno! bawię oczy milej
„Niż obraz!"... Trzeci: „Jam mądrości księga!"

A jeszcze struna gra donośniej inna—
Woła—„W tem miejscu duch nędzarza gości,
„Co strzegąc ludzkiej przed hańbą godności,
„Dał krew i—ludzkość dziś mu hołd swój winna!

Oto go widzę...
Krokiem bohatera—
Przez skał wyżyska—przez obłoczne szczyty—
Polem puszcz śnieżnych—nad mur niespożyty
Alp wzniesion—idzie—i w dal gdzieś spoziera...

Orle mu oczy błyszczą pod cnem czołem,
Nieśmiertelności zdobi go korona,
Że dusza moja w niego zapatrzona,
Nie wie, jak zwać go?... Tellem, czy aniołem?

Tell... anioł... bożek...
Łuk go przypomina
I strzała, która u biodr się kołysze;
Zda się świst jeszcze ja tej strzały słyszę,
Gdy z ręki ojca niosła śmierć—w skroń syna!

Czuję dreszcz...
Różne są ludzi ofiary
I różne nawet znosili bogowie,
Ale o żadnej nikt lepszej nie powie
Nad tę, co poniósł on! bohater stary!

Cześć mu!— —
Przepłynął!...
Tymczasem ja oczy
Ledwiem oderwał od górskiej tam śnieży,
Patrzę, aż indziej nowe dziwo bieży
Przez Alpy...
Korab'—zwierz—wąż—czy gad smoczy?

*) Autor pozwala sobie tak nazwać Jezioro *Czterech Kantonów* z powodu, że głównym bohaterem legend, krążących po brzegu tego jeziora jest Wilhelm Tell.—

Po ścianie stromej pnie się precz—pnie dalej,
Jakby go jakie ciągnęły rumaki...
Ptakiem jest? ale... skrzydła mają ptaki...
Czy czarci gońca na niebo wysłali?

Chyba bo tylko czart spróbować może
Takiej pod słońce karkołomnej jazdy!
Znudzony ziemią, mknie widać na gwiazdy,
By z nich noc roznieść po niebios przestworze!

Ot! jaką górą szarą i obrzydłą
Dym mu z nozdrz bucha... a z djablej paszczęki
Sypią się iskry... gwiżdże... snać od męki—
I pcha się... pcha się—w blask—brudne straszydło!

Rigi!...*) stanęłaś jak wielka opoka
Pomiędzy ziemią i niebem dalekiem,
Królewskie oczy wodząc nad człowiekiem
U stóp swych—z niebios—o ty, wielkooka!

Człek pozazdrościł ci widać tej chwały:
Na szczyt twój możny, sięgający w chmury,
Wtoczył, żelazne podstawiwszy sznury,
Wóz jakiś z ogniem, sadzą okopciały.—

I otóż, dzisiaj, karłów lud przebiegły
Depcze twą głowę—twoję!—której hardy
Piorun nie ruszał, bojąc się pogardy
Zimnych śniegowisk, co jej wierzch zaległy!

Wóz piął się dalej...
Po nad nim—słup szary
Coraz to szersze roztaczając kłęby,
Szedł siną lawą nad kamienne zręby
Skał—nad łąk zieleń—wondoły—i jary;
Aż, przysłaniając tarasów rozłomy
Lekką mgły bielą niby siatką z gazu,
Jak cień w promieniu rozpływał odrazu,
Dla boskich oczu już tylko widomy!

Tam—wielki orzeł hardo zadumany,
Spostrzegłszy nagle intruza pod chmurą,
Skrzydła najeży i—wysoko—górą
Odleci—bluźniąc poczwarze nieznanej...

Owdzie, przypadkiem, potok górskiej fali
Przed wóz pomknąwszy, niby srebrna żmija,
Gdy zoczy dziwo, wnet w stronę wymija,
Pianą w nie białą pryskając z oddali.

Tak, słyszę jeszcze, zda mi się, jak bieżą
Przez skały, groźnym sterczące szeregiem,
Ku głowie góry ubielonej śniegiem...
Echa od lasów, które w dołach leżą...

Alpa śpi... Dzieci ujmują się za nią...
Wszystkie w chór zgodny złorzeczą poczwarze,
Co rozszalona, z hardym człekiem w parze,
Ku niebu po niej się pnie—nad otchłanią.

Stanęła patrzcie! przed jakowąś klitką
Z kart białych... (Któż wie—może to i wieża)...
Stanęła... Ale... gdzież jej tam!... Znów zmierza
Ku gwiazdom, szczerząc swoją paszczę brzydką...

Nie spocznie prędzej aż już pod obłokiem!—
Gdybyż! Lecz granic dzikim żądzom nie ma!
Gdy jedna z hydr tych na chwilę bieg wstrzyma,
Druga mknie za nią wnet zuchwalszym krokiem.

*) Gruppa Alpejskich wierzchołków nad jeziorem *Czterech Kantonów*, z których t. z. „Rigi-Kulm“ (Wierzchołek Rigi), jest najwyższym. Znaną jest światu droga żelazna przeprowadzona na szczyt tego ostatniego.

Jakże się musi cieszyć z twego sromu
O *Rigi*! brat twój, z drugiego tam brzegu,
Jedyny rywal w sąsiadów szeregu,
Co chwale twojej bluźnił pokryjomu:

Piłat!... *)
On—rogi wystawiwszy w chmury
Dziesięćkroć ostrzem tych rogów je bodzie
I—cień królewski rzucając po wodzie,
Stoikor, ony swej wart i purpury!

Właśnie czerwony włożył płaszcz na siebie
I jakże dobrze mu w tej jasnej szacie!
Skroń w aureoli; pierś cała—w szkarłacie;
Stopy—w mgle srebrnej; a dumna twarz w niebie!

Marząc nad krzyżem z jasnych fal tej wody **)
Składa hołd wieczny Chrystusowej męce,
Na wyrzut temu, co „umył z krwi ręce“
Gdy Chrystus znosił swój krzyż—za narody!

Silna potęgą, wzięła góra na się
Niedobre imię—aby własnym cieniem,
Skruchę grzesznika, wraz z jego imieniem
Wskazywać ludziom, w tym i w przyszłym czasie.

I cześć jej za to! za tę hardą głowę
Którą podnosi!...
Ot „duchy pogańów
Do dziś szukają w jej mgłach swych bałwanów,
Padłych pod święte stopy Chrystusowe!

Spojrzeniem duszy, co przebiega czasy,
Ja widzę ołtarz *Wuotana* jeszcze,
Gdzie bardy Celtów, przez swe pieśni wieszcze
Budziły codzień jej drzemiące lasy...

W głębi zarośli słychać było szmery
Tajemnych modlitw—czarnookie dziewy
Paliły ognie; jęki ofiar—śpiewy—
Głuszył stuk twardej o drzewa siekiery.

Górskie orlice zrywały się na to
Z gniazd starych; niedźwiedź zadziwiony, z kniei
Wybiegał... Czarty, wszystkie po kolei
Czekały w piekle na strawę bogatą!...

Ot—dźwięk metalu już znaczy zaczęcie
Obrzędów!... Cisza!... Potem boską wolę
Głoszą kapłani dmąc w rogi bawole...
Kara tym, co jej nie wypełnią święcie!

Tak było kiedyś.
Zasłuchany w ciszę
Urwisk tam dzikich, gdzie dziś pustka drzemie,
Ja widzę całe to skieletów plemię
I szept ich groźny z poza grobów—słyszę.

Więc hołd ci góro raz jeszcze!... ty można!
Na twojej w rogi oprawionej głowie
Lśni *gloria dziejów*... do której—w swej mowie—
Modli się szczerze moja pieśń pobożna!

Płynąłem dalej...
Chór, dziwnie wspaniały,
Z ech pomieszanych wieczornej godziny,

*) *Mons pileutus*, także *Mons fractus* u starożytnych. Najwyższa z Alp, otaczających jezioro, na brzegu przeciwległym temu, gdzie jest *Rigi*. Nazwę „Piłat“ otrzymała zapewne od „mons pileatus“; lecz lud utworzył stąd zaraz legendę o *Piłacie Poncyuszu*, znanym z Biblii.

**) Jezioro *Czterech Kantonów*, ma kształt, nierównego wprawdzie, gdyż zaginającego się mocno ku osadzie, ale niemniej przeto wyraźnego krzyża.

Szedł ku nam z brzegów, przez fale głębiny,
Wzrok wabiąc ciągle od wody—na skały.

Miało czas ledwie znużone spojrzenie
Odpocząć—rwane od chwili do chwili..
Tu—wież widokiem nad szczytami willi;
Tam—zamków w leśne otulonych cienie;

Owdzie—róż pysznych po alpejskich gajach,
Co śród puszcz górskich śniły, jak oazy;
Tam—znów je inne nęciły obrazy
Powietrznych mostków, na dzikich ruczajach.

Statek wszedł w środek Alpejskiego morza—
Dumna *Lucerna* już znikła za nami;
Inne miasteczka, białemi plamkami
Świeciły w brzegach, które pstrzyła zorza.

Tak płynąc—milcząc—rospatrując dziwy
I... błogosławiąc za nie Twórcę-Boga—
Znalezliśmy się odrazu u proga
Okropnej skały, pamiętnej...

Fakt żywy!
On ją ubóstwiał—*ona* przed nim, cała,
Siłami wszystkiej rozmodlona duszy,
Klęczała sercem i—w wieczornej głuszy—
Nie pacierz Bogu, lecz jemu szeptała.

Raz przyszedł do niej:
—„Najdroższa Alino“
Mówi; „twój rodzic zagroził mi wczora
„Śmiercią, jeżeli...
W objęcia upiora
„Pójdzież-że—z rąk mych—niedobra dziewczyno!?

„Rodzic twój grozi... i moja też matka
„Płacze—narzeka i—przeklina ciebie!
„Co robić?... nie maszże Boga na niebie?...
—„Jest“!...
I spojrzała na wodę z ukradka...

On gest zrozumiał.
—„Tak“!—rzecze z zapałem.
„Mnie żyć bez ciebie?—mnie rozstać się z tobą?
„Samotnie, z sercem rozdartem żałobą
„Pójśćtak w świat próżny?—mnie!—co tak kochałem?

„O! ranna zorza, gdy wejdzie po nocy,
„Niech lepiej duszom już takim nie świeci!
„Umrzyjmy raczej!... Patrz, jak fala leci!...
„Miłość... Alino!... Czyż nam zbraknie mocy?

—„Mocy?—mnie?—z tobą!... co?... w drżących ramio- [nach
„Pójść tak odrazu do nieba, do Boga?“
Zawoła ona... „Taka krótka droga!...
„Jeden skok!...
Dzwonią...
Słyszysz—co gra w dzwonach?„

—„Słyszę“—rzekł on znów... „To wieczność gra [z dali“!...
Zamilkł— —W gorące wzięli się objęcia— —
I śliczna para—młodego dziewczęcia
Z młodym kochankiem... zapadła w głąb' fali!

Dziś, na tem miejscu, wir złotem się toczy
I w żywych pląsach skaczą rybek roje...
Przepłyńmy!... Fale mają zbrodnie swoje,
Od których dobrze jest odwracać oczy!

Na przeciwległym strasznej skale brzegu,
Snem ciemnym płyną inne znów obrazy:

Dziwaczne widma zamienione w głazy...
Szczytami w niebios zadrętwione śniegu!

Nie schodzą nigdy z ich głów tam lawiny
Mgły białej, kryjąc rzęd ten zamków wzniosłych,
W ogromne niebios podwały rozrosłych,
W dół się patrzących z gniewem—bez przyczyny!

Ten pierwszy oto, co się wprost tam piętrzy,
Ścianami z kwarcu i z granitów szarych,
To pewno gniazdo jakichś wiedźm prastarych...
Któżby tam zajrzéć do jego śmiał wnętrzy!

Ten drugi—pewno to pałac Merlina,
Strasznego karła-czarodzieja ludzi..
Zasnął!—Czekajmy!—Niechno się obudzi!
Wszystkim *olbrzymom* on łby wnet pościna!

A tam znów... w błyskach szkarłatowej zorzy,
Siwy mgłą białą, co mu głowę śnieży,
Podobny miną do garbatej wieży,
Jakiś głaz-kolos zmarszczoną twarz sroży...

Za rzędem widm tych idą ciemną zgrają,
Jedno i drugie i dziesiąte jeszcze
Podobne... Patrzéć aż przejmują dreszcze...
Jakie kły straszne,—jakie twarze mają!

„*Kindlimord*"!—wtedy ktoś krzyknie odrazu
Na statku...
Wskazał...
Na płaskim podwale
Zielonej góry—przyparty nieśmiale
Do jej tam ściany—stoi kościół z głazu.

Świątynia miała przed obliczem Boga
Zmyć z tego miejsca niesłychaną zbrodnię,
Która się stała: ojciec tu wyrodnie
Córkę swą zabił!... (Większej-ż zbrodni trzeba?)...

A był to grajek z profesyi.
Na lirze,
Chodząc po miastach, po drogach i siołach,
Grał—śpiewał pieśni... o bożych aniołach,
Co w noc wiosenną wzlatują nad krzyże;

O zapaśnikach z Chrystusowej pory,
Co krew swą chętnie dawali za wiarę—
I—o tyranach, którzy w czasy stare,
Trapili świat ten, niby złe upiory!

Ludzie lirnika darzyli zapłatą
Bardzo ochotnie, za te jego pieśni—
On zaś od wszystkich wstając zawsze wcześniej,
Budził ich graniem i śpiewaniem za to.

Lecz człek ten duszę miał niezmiernie hardą:
Brał tyle tylko za swoje tam granie,
Ile potrzeba feników, by za nie
Miéć chleb! Co nad to—odtrącał z pogardą!

O! czasem groszy zostało coś z wczora
Nazajutrz—grajek zaoszczędził sobie!
Dopieroż był to szał! szał!... Dłonie obie
Na struny!—hejda!... z rana do wieczora!

Wybiegał wtedy zaraz z dnia świtaniem
Nad drogę—wchodził od chaty do chaty—
I—darmo! darmo! bez żadnej zapłaty,
Jak król... już wszystkich obdarzał swem graniem!

A miał ładniutką córeczkę ten grajek:—
Zwali ją wszyscy „niebieskim aniołkiem"—
Miała blond włosy—twarz białą—nad czołkiem
Nosiła wianek... z *niezapominajek*!

Ojciec dzieweczce dawał wszystko prawie,
Co sam zarabiał, mówiąc często:
—„Dziecię,
„Już stary jestem... Kiedyś umrę przecie
„A nic po sobie ci, nic nie zostawię!
„Lecz nauczyłem cię grać, moja mała—
„Tę lirę dam ci... Pamiętaj, kochanie,
„Żeś ty powinna ile sił ci stanie
„Cierpiéć—jak ojciec—byleś nie żebrała!"

Raz się zdarzyło, że w chacie lirnika
Zabrakło całkiem powszedniego chleba.
Darmo się modlił o pomoc do nieba —
Grał—złamanego nie dostał fenika!

Że sam nic nie jadł od dwóch dni, nie szkodzi!
Lecz ona!... Tyle tam mrzy się narodu,
A chleba...
„Żebrać?—O nie!—Raczej z głodu..."
W tej chwili—mimo—jakiś pan przechodzi.

Że pan, to widać odrazu po szacie:
Cała, jak srebrna!... Przytem tak łagodnie
Jakoś poglądał!...
Migają przechodnie...
Zimno—a chleba nie ma w grajka chacie!

Lirnik zagrany nie patrzył po drodze...
Ale dziewczynka... Z przed ojca cichaczem
Wybiegłszy:—„Panie!" woła nagle z płaczem,
„Choć grosz!"...
Pan stanął i dał grosz niebodze.

—„Co! Ty mi żebrzesz!? Prosisz o jałmużnę!?...
„Ty!?... tak że los już nami poniewiera
„Okrutny!?"—lirnik zawoła... i lira
Z rąk mu wypadła, jęcząc tony próżne...

Wziął grosz od małej—dogonił przechodnia—
Zwrócił mu datek—i poszli oboje
Pod dach... O! nie tak!... Poszli tam we troje
Tym razem! Trzecią była z nimi—zbrodnia!

. . . .

—„Żyć?... czuć, jak w piersi kołacze się serce...
„Czuć!—i dać zginąć tej biednej ptaszynie
„Od hańby!?—Nigdy!—Niechaj lepiej zginie
„Wraz ze mną!... Bóg sam rozgrzeszy mordercę!"...

. . . .

Noc na świat padła i na chatę grajka...
Co tam w tej chacie stało się—któż powie?
Trup małej leżał—ojciec przy jej głowie—
A w ustach ojca—*niezapominajka*!

. . . .

Statek szedł dalej...
Przed wzrokiem jezioro,
Z dzikim swym światem bezładnych granitów,
Z zamkami, które patrzały z ich szczytów,
Lśniło jak pałac, w którym skarby gorą...

Blaski na dole i blaski na górze...
W dali—brzeg ziemi w cudownej zieleni...
Próg wody łuną z dyamentów się mieni
A z boków ściany—jak kotary duże!

Cisza tak milczy pełna, że plusk fali
Dzwoni w niej szumem ulewnego deszczu...
My—by ją uczcić—prawie zmarzli w dreszczu,
A żyjąc... prawieśmy nie oddychali!

Świątynio błoga! dla której imienia
Ja nie mam w mojej niedołężnej mowie—
Jak wielki ołtarz wzniesiony Jehowie,
Ty czcić się każesz modlitwą—z płomienia!

Po murach twoich i po twoich szczytach
Palą się głoski, jak te, co w pustyni
Bóg tylko pisze, kiedy cuda czyni—
Sam zapatrzony w ich moc—na zenitach!

Taką natura twa jest... A znów dzieje
Ludzkie...
Ot—skała ta po prawej stronie
Stoi, jak pieśniarz, co gra na bardonie...
Baśń o Cezarze z jego szczytu wieje!

Tam—głaz znów inny znaczy sobą pole
Trzech źródeł, kędy—mocne orły—męże,
Złożywszy kiedyś na krzyż swe oręże,
Przysięgli skruszyć ciemięzców swawolę.

Tam—z gruntu wyspy—pośród modrej wody
Wznosi się w górę wiekopomna skała,
Którą Helwecia w cnej ofierze dała
Temu, co cześć jej rozniósł przez narody!

Zaiste pieśniarz był wart bohatera,
Którego sławił!—i dziś, w twardej mowie
Tego kamienia, niby dwaj bogowie
Stoją... Tell wszędzie przy boku Szyllera!

Rütli!... noc!... wicher!... łódź!...
Po całej wodzie
Gdzie teraz blaski te różowe płoną,
Szła raz zawieja z mocą tak szaloną,
Jakby zmieść chciała cały świat w pochodzie!

Ogromne dłonie zanurzywszy w fale
Zlewiska... które takim snem dziś drzemie,—
Wstrząsnęła niemi aż po samę ziemię
Ich dna!... toń wody wywracając w szale!

I przewróciło się jezioro całe
Gruntem do góry—powierzchnią do dołu...
Piasek i woda i skały pospołu
W tan poszły, wspólną orgią rozszalone...

Niebo wtórzyło tej uczcie przyrody
Grając gromami hymn iście piekielny...
I—w noc to taką, Tell, kmieć z *Rütli* dzielny—
Pchnął łódź Gesslera, na środek tej wody!

Dziś, zkąd łódź poszła, patrzcie! gdzie się świecą
Te fale—w lewo—po nad brzegiem zaraz—
Wznosi się płaski, granitowy taras—
Nad nim kaplica—i krzyż nad kaplicą...

. . . .

Juliuszu! *) Wieszczu!... którego duch gości
W tych niszach sennych, powiedz! czy na ziemi
Jest gdzie gmach między co najprzedniejszemi,
Lepszy?......

I powiedz także, ty, coś patrzéć umiał:
Jak cudnym jest ten cały świat jeziora!...
Ach! co tu śniła twoja dusza chora
Jam to dopiero dziś sercem zrozumiał!

. . . .

I tem wspomnieniem piewcy, co mi bratni
Przez krew swą spłynął tak przed myśl wzburzoną,
Kończę pieśń moją...
Z wszystkich snów jej pono
Radosnych, ten jest najlepszy—ostatni!

---

*) Wiadomo, że poemat Juljusza Słowackiego: „W Szwajcaryi", osnutym został na tle przygód miłosnych, doświadczonych przez poetę w Alpach właśnie Jeziora *Czterech Kantonów*. Wzniesiona powyżej kaplica zwana „Kaplicą Tella", jest tą samą, o której wspomina poemat Słowackiego.

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

III.

Upłynęło dwa, trzy, cztery dni, a hr. Laryński nie powracał do państwa Moriaz gdzie go co wieczór czekano. Antonina doznawała dziwnie przykrego wrażenia, większą część dnia trawiła na smutnych rozmyślaniach i przypuszczeniach, które nawet mąciły jej spoczynek. Lecz umiała panować nad sobą, nikt domyśléć się nie mógł, iż pełna niepokoju, więcej jak sto razy na dzień zadawała sobie pytanie: Czemu go dotąd nie ma? Czy nigdy już nie powróci? Może pożałował zaufania jakie chwilowo nam okazał? Może też ma do nas żal, za czynione mu zapytania? Albo domyślił się że wiem, iż on to jest autorem przysłanego mi listu. Czy będzie zdolny opuścić to miejsce nie pożegnawszy się z nami? Może już odjechał i nie zobaczymy się nigdy?

Tu Antonina uczuła po raz pierwszy w życiu dziwne ściśnienie serca. Przyszła i na nią zwykła kolej rzeczy, serce jej nie było już wolne; ptaszek wpadł w zastawione sidła.

Jednego wieczoru rzekła do niej panna Moiseney:

— O ile mi się zdaje hr. Laryński nie pokaże nam się więcej.

— Może gdzie w okolicy spotkał towarzystwo które go więcej bawi jak nasze, odparła obojętnie Antonina.

— To jest, mówiła dalej panna Moiseney, że ucieka przed zielonym stolikiem. Nie obmawiam twego ojca, owszem przyznaję że ma wiele zalet, ale brak mu tej delikatności, której co prawda trudno się nauczyć nad chemicznemi przyrządami. Jakże można skazywać hr. Laryńskiego na śmiertelne nudy przy kartach? Są to rzeczy których twój ojciec dotąd nie rozumie, i których prawdopodobnie nie zrozumie nigdy.

— Chciej mnie pani objaśnić czego to nigdy nie mam zrozumiéć? zapytał wchodząc pan Moriaz.

— Tego że odwiedziny niektórych osób, były nam bardzo przyjemne i brak takowych daje się czuć dotkliwie, odparła panna Moiseney z widocznem pomieszaniem.

— A myślisz pani że mi ich nie brakuje? Cztery dni nie wziąłem kart do ręki. Ale cóż chcecie, Polacy są zmienni, nietrzeba dowierzać im tak bardzo.

— Może też być że pan Laryński jest cierpiący, wtrąciła Antonina spokojnie, czy nie myślisz ojcze że wypadałoby nam posłać do niego z zapytaniem?

Nazajutrz pan Moriaz, udał się do sąsiedniej wioski, tam powiedziano mu że pan Laryński wybrał się na daleką wycieczkę w góry, z zamiarem dostania się na najwyższe ich szczyty. Antonina nie mogła osądzić ostatecznie, czy wiadomość ta była dobrą, czy złą. Wszystko na świecie zależy od sposobu zapatrywania się na rzeczy, a ona zmieniała zdania co godzina.

Od czasu owego wypadku w górach, pan Moriaz stał się ostrożniejszym. Zrozumiał iż niekiedy spotyka się na swej drodze skały na które wejść można z niewielką nawet trudnością, lecz zejść z nich jest rzeczą niepodobną i wypadłoby może w końcu śmiałość życiem przypłacić, gdyż nie zawsze mamy pod ręką młodego Polaka, chcącego wyprowadzić nas z kłopotu. W przechadzkach towarzyszył mu teraz przewodnik, któremu Antonina poleciła nie oddalać się, i zwracać pilną baczność na zamiłowanego turystę. Dnia jednego, profesor powrócił do domu dużo później niż zazwyczaj, za co niespokojna i pełna obawy córka, czyniła mu gorzkie wymówki.

— Uspokój się moje dziecko, rzekł pan Moriaz, zaręczam cię że teraz jestem bardzo rozsądny i na przechadzki wybieram zawsze miejsca najmniej niebezpieczne. Dla mnie już minął wiek zbytniej odwagi. Przed chwilą właśnie opowiadał mi mój przewodnik, jak w roku 1864, wdzierając się na jeden ze szczytów, wraz z profesorem Tyndall i jego towarzyszem, zostali porwani przez spadającą lawinę, z wysokości 300 metrów. Byliby wszyscy zgubieni, gdyby nie przytomność umysłu jednego z przewodników, który znając miejscowość, rzucił się w bok gwałtownie, i stanął o dwa łokcie od brzegu przepaści, pociągnąwszy za sobą towarzyszów przywiązanych do tego samego co on sznura. Jestem ojcem i nie pilno mi pozbyć się życia, lecz życzę naszemu przyjacielowi Laryńskiemu, aby był ostrożny, gdyż udał się właśnie na miejsce, które było teatrem tej przestraszającej sceny.

Antonina nie mogła już dłużej panować nad miotającem nią wzruszeniem. Przez cały wieczór była zamyślona i smutna. Pan Moriaz spostrzegł zmianę jaka zaszła w usposobieniu córki, lecz nie domyślał się jej powodu. Posiadał on w wysokim stopniu znajomość analizy jakościowej i ilościowej, lecz nie umiał rozeznać co się działo w sercu córki.

— Jakaś ty blada, rzekł do niej, czyś czasem nie chora? może się przeziębiłaś. Na litość panno Moiseney, choć raz przydajże się pani na co! Przygotuj jej ziółek; wiesz przecie że Antosi niewolno chorować.

Nazajutrz panna Moriaz odzyskała zdrowie i wesołość, lecz do tej pomyślnej zmiany nie przyczyniły się ziółka panny Moiseney, ale nagły powrót hr. Abla, który w rannych godzinach przybył odwiedzić pana Moriaz. Gdy wszedł Antonina zajęta była dawaniem lekcyi rysunków swej uczennicy. Na widok przybyłego silny rumieniec oblał jej lica i nie zdołała ukryć pomieszania, przed przenikliwem okiem uroczego śmiałka.

Łatwo się domyśléć opowiadania z odbytej wycieczki. Turysta wdzierał się tam nawet gdzie nie często orły dolecieć potrafią. Widziały go śniegi i lody na najwyższych szczytach gór leżące. Schodzącego w pół drogi spotkała gwałtowna burza, tak iż mniemał że nigdy już nie zobaczy zielonej doliny i wśród niej Antoniny Moriaz. Życie, z którem ujść zdołał, zawdzięcza jedynie zręczności i odwadze przewodnika, którego nie mógł się dość nachwalić.

W czasie tego opowiadania Antonina odprawiła swą uczennicę: zostali więc sami. Po chwili Abel powstał niby pomieszany owem sam na sam, którego jednak pragnął i szukał.

— Żałuję że nie zastałem w domu pana Moriaz, rzekł, przyszedłem bowiem go pożegnać, gdyż dziś w wieczór opuszczam te strony.

Antonina uzbroiła się w całą odwagę jaka jej jeszcze pozostała i odpowiedziała dość spokojnie:

— Dobrze że pana widzę przed odjazdem, chcę bowiem zwrócić mu książkę zostawioną przez niepamięć. A wydobywszy z kieszeni złożony papier dodała: Oraz mam jeszcze coś więcej do oddania panu, bardzo mi przykro że pan to jesteś autorem tego listu.

Mówiąc to podała mu odebrany niedawno bezimienny bilecik. Pomieszanie jego było widoczne z kolei on oblał się silnym rumieńcem.

— Na jakich dowodach opierasz pani swe oskarżenie?

— Prawda, że w najgorszym razie można zawsze zaprzeczyć; ale nie zapieraj się pan.

Po chwili milczenia rzekł znowu:

— Nie będę mówił nieprawdy, nie umiem kłamać. Tak pani, ja jestem tym przestępcą, przyznaję to z żalem, skoro widzę że obraziła panią moja zbytnia śmiałość.

— Nie lubiłam nigdy i dotąd nie lubię wszelkich madrygałów, tak prozą jak wierszem, zarówno bezimiennych, jak podpisanych całem nazwiskiem, odparła sucho Antonina.

— Więc pani list ten uważasz za coś podobnego! zawołał, a rozdarłszy podaną sobie kartkę na części, wrzucił ją w ogień tlejący na kominku.

— Masz pani słuszność, list ten nie miał najmniejszego sensu; autorem jego jest bezrozumny szaleniec, dla którego nie ma obrony ani tłomaczenia.

Podniosła na niego swe piękne, łagodne oczy.

— Posłuchaj mnie pani, mówił dalej; jadąc tu zatrzymałem się w jednem z miast na mej drodze będących. W braku innego zajęcia idę do kościoła, tam spotykam nieznajomą kobietę, która przykuwa do siebie moje oczy. Widząc ją potem przechadzającą się w hotelowym ogródku, patrząc na nią mówiłem sobie: Otóż to serce człowieka; kobieta ta nie spojrzała na mnie, nie domyśla się iż na świecie tym istnieje podobna mnie istota, prawdopodobnie nie poznam jej nigdy bliżej, lecz widziałem ją i to mi wystarcza. Będzie ona dla mnie zawsze niezatartem wspomnieniem, nikt nie zabroni mi myśléć o niej. I myślałem niekiedy o tej nieznajomej.

— To dobrze, rzekła Antonina, ale to pana nie tłomaczy.

— Pozwól pani, ciągnął dalej. Pewnego razu siedziałem samotnie wśród gór na odłamie skały. Byłem smutny, zniechęcony, życie ciężyło mi jak nieznośne brzemię. Myślałem o zawiedzionych marzeniach, o nadziejach których rzeczywistość nie ziściła, o goryczach jakiemi przepełnione były dla mnie dnie minione, o niepewności co jutro będzie ze mną. Nieopodal snuła się wązka drożyna, na niej ujrzałem ciebie pani i rzekłem sam do siebie, iż życie ma dobrą stronę, skoro na drogę moją sprowadza choć na chwilę taką jak ty istotę.

— Ale list bezimienny? zaczęła znów Antonina.

On mówił dalej:

— Wiem że nie jestem rozsądnym człowiekiem. Ludzie rozsądni czynią tylko rzeczy pożyteczne, a ja przyszedłem na świat z niepojętym pociągiem ku wszystkiemu co się na nic nikomu przydać nie może. Widziałem cię pani raz jeszcze, gdy na stromej górze, chciałaś dosięgnąć rosnące wysoko kwiaty; usiłowania twe były daremne. Zerwałem owe kwiaty dla ciebie i nie mogłem oprzéć się chęci dołączenia do nich tych kilku słów. Jeszcze tylko to jedno szaleństwo, nim nadejdzie czas pokuty, rzekłem do siebie, będzie to ostatnie w mem życiu. Zwykle schlebiamy sobie że ostatni to raz grzeszymy—a jednak. Zaledwie list ten wyszedł z mego posiadania, a już gorzko żałowałem uczynionej niedorzeczności, czułem całą niewłaściwość mego czynu i rad jestem że własną ręką mogłem teraz zniszczyć ten nieszczęsny papier. Jedyna rzecz która mnie wytłomaczyć może, jest to, iż miałem szczerą intencyą nie zbliżyć się do ciebie pani i nie dać się

poznać. Traf rozrządził inaczej; przedstawiono mnie pani, widywaliśmy się codzień, ale ja nie przestałem dotąd wymawiać sobie słabości charakteru i dlatego skazałem samego siebie na kilkodniowe oddalenie. Kosztowało mnie to niemało, lecz za pomocą tego wysiłku, rozerwałem więzy jakie bezwiednie zaczęły mnie wiązać do tego miejsca.

Mówił tonem na wpół poważnym, na wpół żartobliwym i z tym odcieniem smutku, który mu był właściwy. Antonina poruszyła się z niecierpliwością.

— Czy mam panu wierzyć? zapytała.

Wyraz twarzy Abla zmienił się nagle, oczy zapałały dziwnym blaskiem. — Wśród śniegów i lodów leżących na gór szczytach, odzyskałem siłę woli! zawołał przerywanym głosem, powróciłem na to jedynie, by panią pożegnać i zapewnić cię, że mnie już nigdy nie spotkasz na swej drodze.

— Daruję panu przewinienie, odrzekła spokojnie Antonina, ale pod warunkiem, że nie uskutecznisz swego zamiaru. Chcesz się pan poprawić, być rozsądnym, ludzie rozsądni unikają ostateczności. Po powrocie do Paryża przypomnij pan sobie swoich przyjaciół z Saint Moritz. Ojciec mój ma rozliczne stosunki, jeślibyś pan kiedy zapotrzebował...

Nie pozwolił jej dokończyć zaczętego zdania.

— Dziękuje z całego serca, rzekł dumnie potrząsając głową, przysięgłem iż nic nigdy nie będę winien nikomu, prócz samemu sobie.

— Niechże i tak będzie, przyjdziesz pan aby swą obecnością zrobić nam przyjemność. Za miesiąc powracamy do Cormeilles.

Abel wstrząsnął głową przecząco. Antonina spojrzała na niego badawczo i rzekła stanowczym głosem:

— Ja tego chcę.

Spojrzenie to, te słowa, wywarły na nim tak silne wrażenie, iż o mało nie zdradził swej bezmiernej radości. Byłby chętnie upadł do nóg panny Moriaz, co naturalnie popsułoby rzecz całą, lecz zapanowawszy nad swemi uczuciami, skłonił się tylko głęboko i wyszedł.

Pan Moriaz powrócił z przechadzki wcześniej jak zazwyczaj. Zaraz więc po śniadaniu, udał się w towarzystwie Antoniny na brzeg jeziora. Obszedłszy je dokoła po kilka razy, spoczęli na kobiercu z zielonej murawy pod cieniem rozłożystego modrzewia.

Przez chwilę panowało milczenie. Antonina patrzyła prosto przed siebie, kreśląc w powietrzu końcem parasolika kabalistyczne znaki. Pan Moriaz myślał o swym protegowanym Kamilu Langes, czynił sobie wymówki, iż jeszcze nie napisał do niego; ale pocóż pisać nie mając nic pocieszającego do doniesienia. Stawiał się w położeniu młodzieńca, czekającego w mało-miasteczkowym hotelu, na list który nie przybywał; żal mu się go zrobiło i zamierzył rozpocząć nową kompanią. W chwili gdy otwierał już usta by zacząć oblężenie, Antonina nachyliwszy się ku niemu rzekła cichym i wzruszonym głosem:

— Chciałabym cię o coś zapytać mój ojcze. Cobyś na to powiedział, gdybym kiedyś została żoną hr. Abla Laryńskiego?

Pan Moriaz drgnął tak silnie, że laska którą trzymał w ręku, wypadła z jego dłoni i potoczyła się daleko. Spojrzał na córkę i rzekł:

— Proszę cię powtórz raz jeszcze to zapytanie, gdyż zdaje mi się że nie zrozumiałem słów twoich.

Antonina powtórzyła głośniej:

— Ciekawa jestem cobyś powiedział gdybym kiedyś została żoną hr. Abla?

Przestrach i zadziwienie professora nie miały granic. Nie przewidział nigdy podobnego wypadku, ani przypuszczał aby myśl taka powstała w głowie jego córki. Ze wszystkich myśli które nie mogły mu przejść przez głowę, ta wydała mu się najdziwaczniejszą i najmniej prawdopodobną. Po chwili milczenia rzekł zwracając się do niej:

— Ty chcesz mnie tylko przestraszyć, prawda?

— Czy pan Laryński nie podoba ci się ojcze?

— Ja tego nie mówię. Owszem, znajduję że jest dobrze wychowany, bardzo przyjemny, żo jak nikt umie znaleźć się na czasie, aby zabłąkanego sprowadzić ze skał na których w przeciwnym razie siedziałbym pewnie do tej pory. Przyznaję chętnie to wszystko, ale córki dać mu nie myślę.

— Mówmy poważnie mój ojcze. Dla jakich powodów nie oddałbyś mu córki?

— Najprzód pan Laryński jest mi prawie nieznany, a ja zwykle nie bardzo ufam przybyszom, potem przyznam się, iż stan jego majątkowy...

— Otóż jest główny powód, przerwała Antonina. Jest ubogi i z tem się nie kryje, to zbrodnia nie do darowania! Jak myślę nie zgadzamy się pod tym względem. Jestem majętną i o tyle mnie to zadawalnia, o ile daje mi niezależność i pozwala wybrać za męża człowieka, którego będę mogła szanować i kochać, choć jest ubogim.

— A może właśnie dlatego przerwał z kolei pan Moriaz. Proszę cię na wszystko pozwól abym wypowiedział to co mi dyktuje mój nędzny rozsądek. Pan Laryński opowiedział nam historyą swego życia. Przyznaj sama czy ona nie wygląda na coś... jakby to powiedzieć... na coś bardzo awanturniczego? Oburza cię to, prawda, ale powiedz sama czy nie należy on do rzędu ludzi koczujących?

— Albo do rzędu bohaterów, odparła.

— Niechże i tak będzie, więc do koczujących bohaterów. Życzę jak najlepiej bohaterom, choć doprawdy nie wiem dotąd, na co się oni przydać mogą. W każdym razie nie jest wcale rzeczą dowiedzioną, aby potrafili uszczęśliwiać żony, a ja chcę by moja córka była szczęśliwą.

— Czy nie przekonałeś się mój ojcze że pan Laryński ma złote serce i niezwykły rozum?

— Złote serce, nie przeczę temu, nie mam powodu wątpić o tem, ale najprzenikliwsi nawet, biorą niekiedy fałszywe świecidła za prawdziwe klejnoty. Gdybyś więcej studyowała chemię, łatwoby ci się przyszło przekonać, jak mało trudu wymaga fabrykowanie fałszywych klejnotów. Dawniej po nadaniu kształtu przedmiotom, złociło się je z niemałym trudem; dziś zanurza się tylko tombakowe lub miedziane wyroby w płynie na to przyrządzonym, a w przeciągu minuty rzecz cała jest już wyzłocona. Złoci się też niekiedy galwanicznie... Ale przypuśćmy nawet że serce pana Laryńskiego jest ze szczerego złota. W najszczerszem nawet złocie, musi być pewna przymieszka. W jakiej ilości jest ona w sercu hr. Abla, tego ani ty, ani ja, sprawdzić jeszcze nie jesteśmy w stanie.

(d. c. n.)

Wiosna.

Uroczo się mieni!
W przepasce z zieleni
Powiewna skrzydlata
Przylata.

Rój ptaszął w usługi,
Motyli sznur długi
Wybiega radośnie,
Ku wiośnie.

Słowik szle duecik,
Podlaszczka bukiecik,
Kukułka wychwala,
Choć zdala.

A każdy się żali,
Jak tęskniąc czekali
Na śliczną panienkę,
Wiosenkę.

Jak marzli biedacy
I ludzie i ptacy,
Aż ona wyzwoli,
Z niewoli,

Aż błyśnie uśmiechem,
Ogrzeje oddechem
Cieplutkim jak słońce
Gorące.

A miłym jak tchnienie,
Fijołków wonienie,
Konwalii w rozkwicie
Przybycie.

Więc każdy rad dalej—
Ze wdzięków ją chwali,
Z szat w jasne lazury
Natury.

Pastuszek z multanką,
Skowronek z sasanką,
A dzwonek po lesie
Cześć niesie.

M. K.

WYSTAWA TKACKA.

Urządzona w pałacu Brühlowskim

staraniem Komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa,

otwarta 6 maja 1880 r.

(Dokończenie).

Przechodzimy do sali *H.* Bracia Schmieder z Łodzi wystawili tu tkaniny wełniane, pół-wełniane i pół-jedwabne. Wystawcy posiadają drugi podobny zakład w Meerane w Saksonii, fabrykę łódzką założyli dopiero w r. 1879, posiada ona 200 warsztatów i zatrudnia 400 robotników z których połowa krajowców. Z ogólnej liczby pracowników 48 % przypada na mężczyzn, 48 % na kobiety i 4 % na dzieci od lat 8. Przędzę jedwabną, wełnianą i bawełnianą sprowadza fabryka z zagranicy, roczny obrót 400,000 rs.

Bracia Lürmann z Łodzi całą jedną ścianę tej dużej sali pokryli dywanami ze swej fabryki, wyrabianemi z wełny i przędzy lnianej krajowej. Wielkie te dywany, przeważnie w guście smyrneńskich, nie są tak ładne jak angielskie lub nawet dawne nasze krajowe z fabryki Geysmera i Percksa, ale zawsze bardzo pokaźnie się przedstawiają. Może na żądanie kupców warszawskich sprzedających dywany braci Lührmann, w ogóle nie położono przy nich cen, a oznaczona na jednym 3 rs. 75 kop. za łokieć kwadratowy, jest zapewnie ceną sklepową, gdyż inaczej wielki ten dywan byłby za drogi. Fabryka ręczna dywanów braci Lührmann zatrudnia 10 robotników i 50 robotnic; założona została

w 1872 r. posiada 6 warsztatów do wyrobu dywanów smyrneńskich, oraz 20 do innych rodzai. Materyałów używa wyłącznie krajowych, roczny obrót 30,000 rs. Dywany tej fabryki sprzedawane są w Warszawie w wielu pierwszorzędnych sklepach, widać zatem że mają odbyt, zastanawia więc dlaczego fabryka ogranicza się na tak małej produkcyi, tem więcej jeźli rzeczywiście posługuje się materyałem wyłącznie krajowym? Dalej dlaczego ta zagadkowa tajemniczość, że nietylko na okazach dostarczanych na Wystawę, ale nawet w ogłoszeniu ceny nie podane, co dopiero dozwalałoby wnosić o przyszłości tej gałęzi przemysłu krajowego.

W tejże sali p. Meyer z Łodzi wystawił ładne serwety gobelinowe, adamaszek wełniany, kołdry wełniane, wyroby na pokrycie mebli, chustki wełniane i flanele. Fabryka ta założona w 1862 przez p. Hentschla, dopiero w 1879 r. przeszła na własność obecnego właściciela. Posiada własną farbiarnię; kompletną apreturę i drukarnię. Zatrudnia około 400 robotników, z tych 3 do 4 % cudzoziemców, reszta krajowcy. Materyały w $^1/_4$ części sprowadza z zagranicy, $^3/_4$ z zakładów krajowych; roczny obrót dochodzi do 1,300,000 rs.

Serwety przedstawione na Wystawie są bardzo ładne i stosunkowo tanie, to też niebawem kupione zostały; obok okazów p. Meyer przedstawił album zawierające próbki i desenie rozmaitych tkanin, wyrabianych w jego fabryce. Dobry to i praktyczny bardzo pomysł.

Powszechną zwracają uwagę wyroby tak zwane „fantazyjne“ p. Hirschberga, z Łodzi, obejmujące ładne bardzo zarzutki damskie, chustki rozmaitego rodzaju, dolmany, kapturki, paltociki dziecinne i t. p. Okazy p. H. ani gustem ani wyrobem nie ustępują zagranicznym, a są stosunkowo znacznie tańsze. Fabryka ta założona dopiero w 1879 zatrudnia 10 dorosłych mężczyzn i 60 dziewcząt od lat 8 do 9, dwie trzecie robotników i robotnic są cudzoziemskiego pochodzenia. Do wyrobów swoich p. H. używa przędzy wełnianej i jedwabnej zagranicznej.

Dalej w tejże sali pp. Blunck i Halpern z Warszawy, wystawili wyroby gumowe do obuwia w kilku gatunkach, z ich zakładów pochodzące. P. Lisel wyroby wełniane, z tych odznaczają się chustki kaszmirowe. Z wystawionych tu robót kobiecych zwracają uwagę hafty kolorowe pp. Teresy i Stanisławy Bujnowiczówny; trudno oczu oderwać od prześlicznego widoku Willanowa i haftów złotem na aksamicie. W okazach p. Zanders zwraca uwagę pięknie bardzo wykończona poduszka krzyżową robotą, śliczna twarz kobieca zdaje się jakby odmalowana. Cena rs. 30 odnośnie do tak wykończonej pracy nie jest przesadzona.—W tejże sali zasługują na uwagę piękne hafty maszynowe rozmaitego rodzaju, wystawione przez p. Chełmicką z Warszawy, Leszno Nr. 21.

Salon I, zajęty jest wyłącznie przez wyroby p. Kindlera z Pabjanic, który nadesłał 250 sztuk rozmaitych wyrobów wełnianych i półwełnianych. Jest to jedna z pierwszorzędnych fabryk krajowych, zatrudnia 728 robotników w zakładzie i 250 w mieście, z których $^7/_8$ krajowców. Materyał surowy sprowadza p. K. z Anglii i z Niemiec, obrót roczny dochodzi do 2,000,000 rs. Jest tu czemu się przyglądać pod względem gustu i dobroci wyrobu, to też na kilku Wystawach fabryka otrzymała medale srebrne, a w Wiedniu 1873 medal zasługi. Szczególniej tu zwracają uwagę tkaniny białe, czysto wełniane.

W salonie K, rozłożył liczne i różnorodne wyroby swoje p. Reichman obecny właściciel *Starzyckiej fabryki sukna i kortów* w Starzycach, pod Tomaszowem Rawskim. Widzimy tu kołdry, burki, korty zimowe i letnie, syberyny i bibry i t. p. Jest to kompletna fabryka sukna, w której surowy materyał (wełna) przerabia się aż do ostatecznego wykończenia; $^2/_3$ wełny przerabianej w fabryce pochodzi z Rossyi, $^1/_3$ krajowa. Z ogólnej liczby 300 robotników, ($^1/_3$ cudzoziemców reszta krajowych) jest 60 % mężczyzn, 20 % kobiet i tyleż dzieci od 12 do 15 lat. Wartość rocznej produkcyi około 400,000 rs.

Ale otóż i sala ***L,*** tak świetnie przedstawiająca nasz przemysł tkacki, w niej bowiem spotykamy wyroby z fabryki Sławuckiej księcia Romana Sanguszki i Albertyńskiej hr. Franciszka Pusłowskiego.

Fabryka *Sławucka* jest jedną z najstarszych, jeźli nie najstarszą u nas fabryką sukna, a wyroby jej od dawna już zasłużoną cieszą się wziętością. (Gub. Wołyńska, powiat Zasławski) Fabryka ta zatrudnia 450 robotników, obrót roczny przeszło 525,000 rs. Kołdry, sukna i syberyny wystawione są ładne i tanie, kołdry szczególniej zwracają uwagę gustem i doskonałością wyrobu. Wszystkie prawie okazy zostały zakupione. Fabryka Sławucka otrzymała medal jeszcze z popiersiem Katarzyny II-ej, a następnie oprócz wielu innych nagrodzona medalem na Wystawie Paryzkiej w 1878 r.

Całą prawie ścianę tej sali zajmują okazy z fabryki hr. Pusłowskiego, *Albertyn* (pow. Słonimski), mianowicie sukna, korty, syberyny i flanele, przedstawione w znacznej liczbie, tak jednokolorowe jak w różnych gustownie mieszanych barwach. Gatunki wyrobów dobre, miękkie w dotknięciu, znane ze swej trwałości i mocy, a ceny bardzo przystępne. Słyszeliśmy kompetentnych znawców wychwalających piękny kort granatowy. Jest to fabryka kompletna, to jest iż surową wełnę przerabia aż do ostatecznego wykończenia. Zajmuje stale 450 robotników, obrót roczny dochodzi do 300,000 rs. Na Wystawach Wiedeńskiej i Paryzkiej, fabryka Albertyńska otrzymała srebrne medale.

Fabryka *Tahaniecka* (Gub: Kijowska, pow. Kaniowski) dawniej braci Poniatowskich; obecnie hr. Buturlina, wystąpiła bardzo pokaźnie, nadsełając sukna cienkie, kastory i sukna kolorowe w różnych gatunkach. Wszystkie wystawione wyroby odznaczają się dobrocią wyrobu i umiarkowaną ceną, to też fabryka niejednokrotnie otrzymywała nagrody. Zatrudnia 350, robotników; obrót roczny około 360,000 rs. jest to fabryka kompletna.

W tejże sali wystawione są wyroby z fabryki p. L. Maszkowskiego, w Klińcach (Gub. Czernichowska) a mianowicie sukna w różnych gatunkach, w ogóle bardzo pochlebnie oceniane przez znawców. Fabryka ta na kilku Wystawach otrzymała medale i nagrody a na Paryzkiej w 1878 list pochwalny. Zatrudnia 500 pracowników, obrót roczny do 560,000 rs. W tejże sali pp. Thern i Wahlmann z Łodzi wystawili maszynę do trajbowania wełny i bawełny dla tkaczy i pończoszników, a pp. Kazimira i Paulina Rykowskie z Krzynowłogi Wielkiej (pow. Przasnyski) dwie serwety haftowane na płótnie i suknie, i koronki własnego wyrobu.

Ostatnie dwa saloniki ***M*** i ***N*** mieszczą w sobie wyroby *Zakładu Ś. Marty* w Warszawie, mianowicie pięknie wykończone negliże damskie, bieliznę damską, męzką i dziecinną, oraz bieliznę pościelową i najrozmaitsze hafty. Wszystkie hafty wykończone są doskonale, żal nam oczu biednych pracownic męczących oczy nad robotą jaką dziś z łatwością dokonywają maszyny. Zakład ten istnieje już lat 27, gdyż założony został jeszcze w r. 1853, głównie staraniem hr. Hortensyi Małachowskiej ze współudziałem kilku zacnych pań warszawskich, w celu przychodzenia w pomoc osobom potrzebującym zarobku. Z początku utrzymywał się z dobrowolnych ofiar założycielek, obecnie sam sobie wystarcza i coraz większa liczba pracownic igły znajduje tu pracę i zarobek. Po strąceniu kosztów, czysty zysk dwa razy do roku zostaje rozdzielony między robotnice, z których jedne przychodzą pracować w zakładzie, innym dają robotę do domu. Dzieci bezpłatnie przyjmowane są do nauki; obecnie zakład zatrudnia 90 robotnic, których płace wynosiły w r. 1879 około 17,000 rs.

Obecna Wystawa przekonywa dowodnie, jak dobre i różnorodne wyroby własne posiadamy w kraju, jak szybkim jest rozwój ich w latach ostatnich w których powstały nowe gałęzie przemysłu, a nakoniec jak dajemy się wyzyskiwać spekulantom, którzy sprzedając nam tanie wyroby miejscowe każą sobie płacić za niego drogo jak za zagraniczne. Tak więc pod względem *jakości* wyrobów Wystawa tkacka przedstawiła się świetnie, ale za to zachodzi wprost przeciwny stosunek co do *ilości*, z powodu że ze znacznej liczby istniejących w królestwie fabryk, zaledwie tak mała liczba zaprodukowała wyroby swoje, tak więc to co widzimy nie dozwala nam wyrobić sobie dokładnych danych o rzeczywistej wartości tych gałęzi produkcyi krajowej. Według tego co podaje korespondent „Gazety handlowej“ z Łodzi, już z tej jednej miejscowości, licząc tylko przemysłowców których produkcya przewyższa za 100,000 rs. dwudziestu czterech nie wzięło udziału w Wystawie, a biorąc za normę wykazy jakie fabryki te same podały do sprawozdań statystycznych, wartość rocznej ich produkcyi dochodzi do 10,450,000 rubli srebrem. Obliczając w podobnym stosunku produkcyą innych miast fabrycznych, będziem mieć w przypuszczeniu summę bardzo znaczną i wcale nieprzesadzoną ze względu że wiele bardzo znacznych fabryk ze Zgierza, Tomaszowa, Ozorkowa, Opatówka, Kalisza i innych, odznaczyło się—nieobecnością.

Jaki tego powód? Podają różne, a za najgłówniejszy że składnicy i kupcy warszawscy, a przynajmniej wielu bardzo pośredników handlowych, kładło to fabrykantom za warunek utrzymania dalszych stosunków handlowych — w takim razie była to *arconstance attenuante* przemawiająca poniekąd za nieobecnymi przemysłowcami. To także ma być powodem że na wielu wyrobach nie ma oznaczonych cen, aby nie objaśnić publiczności jak ogromnie przepłaca tanie wyroby krajowe, dlatego że panowie właściciele sklepów, silni godną lepszej sprawy jednością, podają je nam i sprzedają jako zagraniczne. Dziwi nas jednak że przemysłowcy „nieobecni“ nie zastanowili się nad tem: iż ulegając naciskowi niesumiennych miejscowych spekulantów, zamykają sobie daleko rozleglejsze drogi zbytu. Jeźli oszukiwana przez wyzyskiwaczy publiczność miejscowa, nie mając pojęcia o rozwoju krajowego przemysłu tkackiego, jest przekonana iż stoi na tak nizkim stopniu, że najpospolitsze nawet wyroby sprowadzać trzeba z zagranicy jakże za miejscowi konsumenci mogą lepsze, słuszniejsze powziąć o nim wyobrażenie? Jakim sposobem tkackie wyroby nasze znaleźć mogą uznanie i zbyt po za granicami kraju, kiedy w jego obrębie panuje przekonanie iż żadnej nie mają wartości? Wszak fabrykanci nasi mogli przekonać się, szczególniej podczas ostatniej wojny tureckiej, że dla bardzo wielu z nich głównym rynkiem zbytu są miasta rossyjskie, a wzrost lub upadek produkcyi naszych fabryk zależy przeważnie od większego lub mniejszego zapotrzebowania ich wyrobów w cesarstwie, jeźli więc uchodzić będą za zagraniczne, to wprowadzeni w błąd kupcy rossyjscy nie będą szukać ich w Polsce. Co ześ do pogróżek warszawskich handlarzy lub

pośredników handlowych że zaprzestaną zaopatrywać się w ich fabrykach, tych łatwo uczynić potulnymi zagrożeniem że, jak to uczynili pp. Hille i Ditrich, otworzą sami w Warszawie sklepy z detaliczną sprzedażą. Dzięki obecnej Wystawie, publiczność miała sposobność przekonać się dowodnie, iż dotychczasowe lekceważenie wyrobów krajowych było najzupełniej nieuzasadnione, a ubieganie się za towarami zagranicznemi jest śmiesznością na szkodę narażającą ogół, nie można więc wątpić że znaleźliby tak licznych i chętnych nabywców iż utrzymywanie sklepów niezawodnie by się opłaciło i wyzwoliło fabrykantów od zależności dziś je rozprzedających.

Komitetowi Muzeum przemysłu należy się wdzięczność i uznanie, iż urządzając Wystawę dał nam sposobność przekonać się iż przemysł nasz tkacki dosięgnął wysokiego stopnia dobroci, że produkcya jego nader pomyślnie rozwija się i wzrasta, i że otwieranie nowych zakładów tej gałęzi przemysłu wielkie zyski mogłoby przynosić przedsiębiercom. Wiadomo że posiadamy licznych i bogatych kapitalistów, ci więc mogliby bezpiecznie ku temu zwrócić je celowi, pozbywając się dotychczasowych obaw czy obojętności. Od nich zależy aby nie powstawało u nas coraz więcej fabryk przez obcych zakładanych kapitalistów, coraz więcej rozkrzewiających na naszej ziemi żywioł cudzoziemski, a przeważnie germański.

J. B.

Przegląd literacki.

Powieści Ukraińskie przez Stanisława Grudzińskiego. Warszawa tom I 1879 r., tom II 1880 w 8-ce.

(dokończenie)

Wigilia Kupały, pełna prześlicznych ustępów. w których autor rozkoszuje się pięknościami ukraińskiego nieba, i podobien synom dawnej Hellady, zjawiskom przyrody nadaje piękne kształty ludzkie. Czy uwierzylibyście temu, łaskawi czytelnicy, że uplastycznienie to tyle dodające uroku mowie wiązanej i niewiązanej zgorszyło niektóre osoby. Oburzył je mianowicie ustęp, w którym autor (na str. 149) porównywa zachodzące słońce w wigilię Ś. Jana, do uroczej królewny w bajce, która po raz pierwszy zanurza w morzu swoje piękne członki. Tłem powiastki jest podanie upowszechnione pomiędzy ludem, że kto w wigilią Ś-go Jana znajdzie kwiat paproci kwitnącej, ten zdobędzie skarby ukryte. Dmytro zakochany w pięknej dziewczynie w ten sposób został bogatym, połączył się z ukochaną, której mu dla ubóstwa dotąd odmawiano, lecz pieniądze snać nie przyczyniły się do jego szczęścia, bo rozpił się i powiesił. *Małe parta poszły do czarta.*

Koniec drugiego tomu zawiera obszerniejszą od innych powieść, p. t. *Półpanek*, przed którą, w rodzaju przedmowy, usprawiedliwia się autor z zarzutu, jaki mu niektórzy recenzenci, uczynili, że w tym swoim utworze przedstawia w jak najczarniejszych kolorach stosunek szlachty do ludu. Dziwny to w samej rzeczy zarzut, gdy jaki *ultras* wprost przeciwne mógłby mieć do autora pretensye, że we wszystkich swoich utworach, a mianowicie też w *Powieściach Ukraińskich* maluje zawsze szlachtę z najlepszej tylko strony. Ot, w *Krzyżu w lesie*, cześnik surowy wprawdzie, ale jest ojcem swoich poddanych, a córka, ich aniołem opiekuńczym W *Zaklętem jeziorze* pan szlachetnie się obszedł z przestępnym niegdyś ulubieńcem swoim. W *siostrach przyrodnich* dziedzic odgrywa rolę Opatrzności. Czegóż to wszystko dowodzi? Tego jedynie że autor umie zachować miarę we wszystkiem, pamiętny na Horacyuszowski *modus in rebus*. Nie pisze apologii szlachty, ale też nie odsądza jej od czci i wiary, i nie czyni odpowiedzialną za wszystkie nieszczęścia. jakie spotkały naszą ojczyznę. Kocha lud, współczuje z nim, lecz nie zamyka oczu na jego strony ujemne, pomimo poetycznego zapału, z jakim maluje jego podania, uczucia i przesądy nawet, nie schodzi nigdy ze stanowiska objektywnego. I tak być powinno, jeśli nie mamy służyć za narzędzie stronnictwom politycznym lub literackim. Jeszcze słówko o innym zarzucie, jaki czynią autorowi pełne pruderyi dusze pobożne. Gorszą się one dosadnemi obrazami autora, zowiąc go realistą. czy też materyalistą. Tu znów przeciwnego jesteśmy zdania. G. nie jest drugim Zolą, ale też nie jest idealistą w guście Lamartina. Zbyt on jasno patrzy na świat, aby miał zostać idiotycznym marzycielem, i na odwrót nie pojmowałby istotnego piękna, gdyby chciał obrazować odrażające sceny realizmu.

Wracając do *Półpanka*, znajdujemy w nim nie kopią Starosty Kaniowskiego, jak to się zdawało niektórym czytelnikom, lecz śmiało zarysowany obraz spanoszonego rozpustnika, hulaki. Mniejsza o to, czy był szlachcicem lub chłopem, chociaż mówiąc nawiasem, tym ostatnim być nie mógł, choćby z tego jedynie względu, że prawo ówcześnie nieszlachcie majątków dzierżyć nie pozwalało. Szulak (czemu nie Hulak) pije, poluje, goni za pięknemi młodycami i wybiera sobie pomiędzy niemi te, które mu się podobały. Jeżli zaś która opór mu stawi używa gwałtu, podstępu i zbrodni. Podobny wypadek miał tu miejsce. Dziewczyna, mająca już narzeczonego, heroicznie opiera się despocie, z nadludzką wytrwałością znosi głodowe tortury, i wtedy dopiero się poddaje, gdy widzi, że rodzoną matkę przez stałość swoją na niechybną śmierć wśród męczarni naraża. Poddaje się, lecz w duszy zaprzysięga zemstę, której wszakże nie spełnia, gdyż w tym względzie zastępuje ją dawny kochanek, który, oddany przez Szulaka do wojska, zbiegł i przebrany za dziada udusił najprzód podłego arendarza, a potem na polowaniu zastrzelił samego Szulaka. Z tym dramatem ściśle się łączy romans córki Szulaka, którą ojciec tyranizował, i chciał wydać za jednego z towarzyszy swoich pohulanek. Młodzieniec, który ją pokochał, i którego ona pokochała z całym zapałem niewinnego serca, narażając trzykrotnie swoje życie, wykradł ją nareszcie. Po śmierci Szulaka, wracają oboje już jako małżonkowie do spadłej na nich prawem dziedzictwa wioski. Scena, która kończy powieść wcale nam się nie podoba: chłopi, którym nowa dziedziczka, chcąc wynagrodzić krzywdy przez ojca wyrządzone, ofiaruje wolność, nie przyjmują jej! Że fakt podobny mógł mieć miejsce, nie przeczymy, sami byliśmy świadkiem czegoś podobnego, lubo wśród innych okoliczności, ale zawsze zbyt to smutne, aby powtarzać w powieści. Radzilibyśmy, aby autor całą tę scenę opuścił lub zmienił.

Na tem kończymy sprawozdanie nasze o *Powieściach Ukraińskich* pana Grudzińskiego. Rozszerzyliśmy się nieco nad miarę, może, lecz spodziewamy się, że czytelnicy nie wezmą nam tego za złe, zwłaszcza, że wśród zalewającej nas powodzi dobrych, złych, a najwięcej miernych powieści tłomaczonych z angielskiego języka, dobrzeby było poznać i ocenić utwory swojego pisarza, który zawsze i wszędzie dotyka rzeczy najbliżej nas obchodzących.

J. Pracki.

Z kraju i z zagranicy.

— Niedawno temu pochwycono w Paryżu na gorącym uczynku nie lada złodzieja. Przez parę miesięcy ginęły codziennie w Wielkiej Operze i Komedyi francuzkiej kosztowne wachlarze, lornety, okrycia, koronkowe chusteczki do nosa, a wszystko to w lożach i krzesłach które zajmuje tylko świetniejsze towarzystwo. Wszelkie poszukiwania sprawców kradzieży były daremne; porozmieszczano więc licznych agentów w krzesłach i amfiteatrze, z poleceniem nie spuszczania oczu z przedmiotów jakie widzowie pozostawiają na swoich miejscach, wychodząc do foyer. Otóż raz jeden z nich postrzegł iż pan jakiś pięknie ubrany, z wstążeczką Legii Honorowej w dziurce od guzika, obejrzał się nieznacznie po sali w czasie między-aktu, poczem wziął lornetkę leżącą na przyległem krześle, popatrzył przez nią chwilkę, i niebawem wyszedł na korytarz trzymając ją w ręku i zaraz schował do kieszeni. Ajent pospieszył za nim i objawił swoje podejrzenie koledze spotkanemu na korytarzu. Gdy pan ów chciał wychodzić z teatru, zastąpili mu drogę i zatrzymali. Zgromił ich mocno wskazując na wstążkę orderową, ale nie zważając zaprowadzili go do będącego na służbie w Operze komisarza policyi. Spojrzawszy z góry na przedstawicieli władzy, zatrzymany wyjął bilet wizytowy z napisem: Manuel Rodriguez, kawaler Legii Honorowej, komandor orderu Karola III, wiceprezes syndykatu prassy hiszpańskiej, administrator towarzystwa ochotników wojny z r. 1870 — 1871, redaktor korespondent dzienników „El Medjodi'a" w Maladze i „Los Fondos Publicos" w Paryżu—ulica des Martyrs Nr. 49.

Nie uląkł się jednak komisarz policyi tych godności i tytułów i kazał zrewidować kieszenie don Rodrigueza—jakoż prócz wyż wzmiankowanej, znaleziono w nich jeszcze trzy inne lornety. Odprowadzono go do Cyrkułu i jednocześnie zarządzono rewizyę w jego mieszkaniu, gdzie znaleziono przeszło 70 lornet rozmaitej wartości, 20 kosztownych wachlarzy, okrycie damskie podbite sobolami, kilkanaście paltatów i różnych wartościowych przedmiotów. A była to tylko część skradzionych przedmiotów, gdyż starał się jak najprędzej sprzedawać swą zdobycz.

Po sprawdzeniu przekonano się że dekorowany złodziej podał rzeczywiste nazwisko i miał najzupełniejsze prawo do stanowiska i godności wypisanych na bilecie wizytowym. Korzystając z wolnego wejścia przysługującego mu jako dziennikarzowi, okradał kogo mu się udało w Operze i Komedyi Francuzkiej, i kilka miesięcy uchodziło mu to bezkarnie.

Rodriguez liczy lat 48, jest żonaty i używał dotąd najlepszej opinii. Skandaliczna ta sprawa nader boleśnie dotknęła korespondentów dzienników hiszpańskich w Paryżu, tem więcej że to już drugi ich kolega uległ podobnej kompromitacyi. Pier

wszym był Rcsales, oskarżony o kradzież brylantów pani Ratazzi, podczas wydanego przez nią balu.

Same znalezione u Rodrigueza lornety, oceniają na 25 do 30,000 fr.

— W celu naukowego zbadania Insygnii korony węgierskiej, w ubiegłym miesiącu maju odbyło się uroczyste przeniesienie jej ze skarbca do sali w zamku królewskim w Budzie. O godzinie 10-ej zebrała się komisya wydelegowana przez Akademię i po sprawdzeniu że pieczęcie żelaznej skrzyni zrobionej jeszcze w r. 1608 były nienaruszone, odjęto takowe. Zamki tak były zardzewiałe, iż same ich otwieranie zajęło kwadrans czasu, poczem książę prymas węgierski wyjął ze skrzyni koronę obwiniętą w białą materyę, oraz berło, jabłko i miecz i położył na stole pokrytym czerwonym aksamitem. Odwinąwszy materyą, prymas pocałował koronę, postąpił parę kroków ku oknu wychodzącemu na ogród zamkowy i podniósł w górę koronę, poczem z kolei pocałowali ją dwukrotnie biskup Ipolyi i opat Cruees. Po odwinięciu innych insygni, otwarto puszkę blaszaną w której zachowany był płaszcz św. Stefana. Po dokładnem obejrzeniu go, notaryusz rady ministrów odczytał protokół z d. 11 czerwca 1867 r. na mocy którego sprawdzono że wszystkie insygnia koronne są nienaruszone, poczem powierzono je Akademii dla naukowego zbadania. Korona została odfotografowana z 21 punktów, a pojedyncze jej części odmalował profesor Rauscher. Wyrobiona jest z czystego złota i łącznie z osadzonemi w niej drogiemi kamieniami i perłami, waży 4 funty i łutów 8. Jest ozdobiona 53 szafirami, 50 rubinami 1 szmaragdem i 338 perłami.

Ta nader rzadka uroczystość żywe bardzo w publiczności węgierskiej wzbudziła zajęcie; strażnik koronny, baron Vay nie mógł sobie dać rady i opędzić się natłokowi proszących o dozwolenie wejścia Massy suplikantów odchodziły z kwitkiem, ale niepodobna było wzbronić wstępu wychodzącym z posłuchania u cesarza a szczególniej duchowieństwu i wyższym wojskowym.

Gdy insygnia dostatecznie będą zbadane, zostaną znów zamknięte w skarbcu. W przedsionku jego stać będzie trzech strażników koronnych, zamkniętych i strzeżonych przez dwóch innych ze straży koronnej. Zmieniają się oni co godzina, a bez hasła nawet strażnikom koronnym niewolno przekroczyć progów komnaty, zamykanej na podwójne drzwi żelazne, z których każde obwarowane jest trzema zamkami, każdy z innym rejestrem i odmiennemi kluczami. Sufit w tej komnacie jest sklepiony, okna zamknięte żelaznemi okienicami.

— Japonia olbrzymim krokiem dąży naprzód po drodze cywilizacyi, a rozwój jej literackiej działalności zdumiewające przybiera rozmiary. Ze sprawozdań statystycznych okazuje się iż w ubiegłym roku otworzono 236 redakcyi, kiedy w ostatnich 15 latach było ich zaledwie 80. Książek i broszur wydano 5,313: z tych 543 naukowych, 313 politycznych i prawnych, 280 słowników, 115 dzieł historycznych, 107 matematycznych, 61 religijnych, 46 handlowych, 81 traktujących o chemii i innych naukach, 2,816 broszur rozmaitej treści. Zaledwie dwadzieścia lat temu, drukowano tam jedynie ukazy i rozporządzenia rządowe, podziwiać więc trzeba tak prędko i silnie spotęgowaną działalność naukową, która dzięki łatwemu pojęciu i wielkim zdolnościom umysłowym Japończyków, łatwo może dać im wyprzedzić inne narody, chlubiące się dziś wyższą cywilizacyą.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pan. Natalii K. w Kielcach. Za odezwę tak dowcipnie napisaną, Redaktor serdecznie dziękuję. Wierszyk wprędce zamieszczony zostanie.

Panu Adamowi W. B.....cz. Artykuł o miłości ze stanowiska psychologii, ma wiele trafnych w sobie uwag i pięknych myśli, ale całość nie jest związana jedną przewodnią dążnością i po przeczytaniu go mimowoli powstaję wątpliwość, czego właściwie autor chciał w nim dowieść. Zgodnie ze stanowiskiem obranem mieszczą się w nim uwagi dotyczące czystego materyalizmu przeplatane psychologicznemi refleksyami, ale brak w tem wszystkiem spójni jasno cel wykazującej. Rzutkość jednak myśli i słowa ma swoje zalety, nie widać tylko powagi godnej przedmiotu. Artykuł może być odebrany w Redakcyi.

Pani Maryi K. w Pińczowie. Książki dla braci naszych w Irkucku zamieszkałych, w ilości sztuk dziewięciu odebraliśmy. Jest to pierwszy dar w tym celu nadesłany i pierwsze Bóg zapłać jakie za niego przesyłamy. Oby jak najczęściej przyszło je powtarzać. Wybór książek dobry, odpowiada zupełnie swemu przeznaczeniu. Za uprzejme słowa listu Redaktor wdzięczny jest niewymownie.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 18 Іюня 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 27 r. 1880.

W JESIENI ŻYCIA.

PRZEZ

Klarę de Chandeneux,

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Dwóch pasażerów znających bliżej pana de Madiran uznało za właściwe wdać się w tę sprawę.

— Czy rzeczywiście chcesz tu pozostać, panie de Madiran?

— Tak, pozostanę.

— Cóż będziesz robił w *Accroches?*

— A! więc się to nazywa *Accroches?*... Bardzo stosowna nazwa!

— Wróć na statek wraz z tą kobietą osuszemy was tutaj.

— Rzeczywiście to dobra myśl, powiedział kapitan.

Wszakże Ludwika która już odzyskała przytomność umysłu, rzekła usłyszawszy te słowa:

— Matka byłaby pewną że utonęłam. O! nie!... wróć pan na statek a ja tu zostanę.

— Widzicie panowie! zawołał Robert, jest tam stara matka której ten wypadek mógłby się wydać tragicznym, ja zaś chcę zaimprowizować z niego komedję. Żegnam panów.

— Zastanów się, Madiran; wracaj do nas.

— W takiej toalecie?... Sądzę że panowie sami to przyznają że nie mogę tak ukazać się paniom.

Mówiąc to roześmiał się głośno, i spoglądał żartobliwie na podartą kamizelkę, krawat podobny do sznurka i przylegające do ciała rękawy od koszuli.

W czasie tej rozmowy łódź zbliżyła się do statku, zabrała jego walizkę i napowrót przybiła do brzegu. Robert sięgnął do kieszeni chcąc dać coś za fatygę majtkom i spostrzegł że woreczek jego pozostał gdzieś na dnie Żyrondy. Przyjął filozoficznie tę małą nieprzyjemność, odesłał czółno, i pożegnał uśmiechem rozczulonego kapitana.

Rovelou czuł się teraz zupełnie szczęśliwym, siostra jego była ocaloną, majtkowie wrócili na pokład, czółno zajęło właściwe sobie miejsce, a koło statku obracało się tak szybko jakby zrozumiało że się śpieszyć potrzebuje.

Pasażerowie tymczasem ochłonęli z pierwszego wrażenia, mężczyźni zastanawiali się z różnych punktów widzenia, nad postępkiem Roberta kobiety zachwycały się jego odwagą, bez żadnych zastrzeżeń, co tem łatwiej im przychodziło, że uratowana była brzydką i liczyła najmniej lat pięćdziesiąt.

— Jestem przekonaną, rzekła dąsająca się jeszcze przed chwilą na Roberta dama, że gdyby hrabina d'Anglejean była obecnie z nami, i przekonała się tak dowodnie o szlachetności duszy odtrąconego wielbiciela, żałowałaby tego że mu odmówiła.

— Wątpię, odpowiedziała, sędziwa już kobieta, wstrząsając z niedowierzaniem głową; piękna Cezaryna żałowałaby tylko jednej rzeczy, to jest że ten wypadek stał się dla niej powodem mimowolnego wzruszenia. Panie wiedzą zapewnie, że ta śliczna hrabina jest nieprzyjaciółką wszelkich silniejszych wzruszeń.

— Dlaczego?

— Bo to narusza świeżość płci, i może przyśpieszyć ukazanie się jakiejś zmarszczki...

— O! pani d'Anglejean nie potrzebuje się jeszcze obawiać ukazania się tych niemiłych gości.

— Zawsze lepiej zachować wszelkie środki ostrożności.

— Działanie jej serca i umysłu jest tak bardzo umiarkowane, że z pewnością nie przyśpieszy wtargnięcia tych strasznych wrogów pięknej kobiety.

— Być może; ale i to nie podpada wątpliwości że jest młoda, żywa i wesoła jak poranek majowy.

— Czy naprawdę pani sądzi że jest tak młodą?

— Któżby mógł wątpić o tem patrząc na tę kibić wysmukłą, świeżą cerę, gładkie czoło i pełne życia oczy?

— Więc jest to lato życia w całej swej świetności.

— Gdyby pani nazwała to końcem wiosny, nie umiałabym nic zarzucić temu.

— Dziwna rzecz! gotowa byłam założyć się że hrabina rozpoczęła już jesień życia.

— Jesień!...

Wszystkie w ogóle pasażerki przyjęły z oburzeniem podobne przypuszczenie, choć może w głębi serca byłyby rade, gdyby tak niebezpieczna współzawodniczka rozpoczęła już trzecią porę życia kobiety, ale jakże tu uwierzyć temu patrząc na tę olśniewającą piękność, tak jaśniejącą młodością.

Sędziwa dama nie obstawała przy swojem zdaniu, a nawet przyznała chętnie że osłabione wiekiem oczy mogły ją w błąd wprowadzić.

Dalszą rozmowę możemy streścić w tych słowach: Okrótna kreolka straciła wyborną sposobność ocenienia pana de Madiran stosownie do jego rzeczywistej wartości, a nawet do odwołania pod wpływem wzruszenia, ogłoszonego mu wyroku.

— A czy ma lat dwadzieścia pięć, jak twierdzą jej wielbiciele, czy też trzydzieści trzy jak głoszą nieprzychylni, postąpiłaby rozumnie oddając rękę tak zacnemu i pełnemu odwagi chłopcu jak pan de Madiran, odezwała się sędziwa dama.

Wyrzeczone przez nią teraz zdanie, już jednogłośnie zostało potwierdzonem.

III.

Robert ścigał już czas jakiś roztargnionym wzrokiem parowiec pomykający śpiesznie w stronę morza, kiedy głos Ludwiki przywołał go do rzeczywistości.

— A! jakże pan jesteś dobry!... i jakiego ja kłopotu nabawiłam pana!

Co prawda znaleźć się na mokrym piasku, na pół ubranym, przemokłym aż do kości, z walizką w ręku, obok kobiety nieznanej i nie mniej zmoczonej, i nie widzieć przed sobą nic prócz Żyrondy z jednej a nędznej wioszczyny z drugiej strony, było to jeżeli nie opłakane, to przynajmniej prawdziwie oryginalne położenie.

Ludwika miała zupełną słuszność kiedy powtórzyła znów z wyrazem głębokiej wdzięczności:

— Tyle kłopotu przyczyniam panu!

Robert po raz pierwszy spojrzał uważniej na swą towarzyszkę, która w istocie, jak mu to powiedzia Rovelou, była tylko prostą wieśniaczką. Dowodem tego były: twarz opalona, napracowane ręce, ciężkie, proste ubranie. Nie była ładną, ani nawet młodą, a zmarszczki pokrywające jej twarz i czoło dozwalały się domyślać że musi mieć około pięćdziesięciu lat życia.

Wybitny wyraz dobroci nadawał pewien rodzaj wdzięku jej pospolitej twarzy, a siwe oczy obsadzone pod krzaczastemi brwiami, posiadały bystre i rozumne spojrzenie.

W całej tej czysto wiejskiej postaci przebijała się poczciwość i czerstwe zdrowie, co zresztą jest charakterystyczną cechą tej nadrzecznej ludności. Niektórzy ją oskarżają o chełpliwość i niedotrzymanie obietnic, zapominając że wiatr południowy ją upaja i częściej jeszcze wyprowadza ją z granic rozsądku niżeli prawdy.

Skoro jednak u wieśniaka z nad Żyrondy próżność zmniejszy się do rozmiaru miłości własnej, a legendowa chełpliwość ograniczy się do dbałości o przedstawienie w dobrem świetle rodzinnego kątka ziemi, wtenczas trudnoby znaleźć kogoś lepszego i usłużniejszego, nad takiego mieszkańca tej słonecznej okolicy.

Robert patrząc na Ludwikę dostrzegł zaraz te odrębne cechy rassowe, a zarazem przeczuł że zdarzyło mu się spotkać jedną z tych istot których powierzchowność tylko była pospolitą.

— Panno Ludwiko, rzekł grzecznie, musimy koniecznie pomyśleć o polepszeniu naszego położenia, i o poprawieniu naszej toalety.

— Czekam na rozkazy pana.

— Czy czujesz się dość silną abyś mogła dojść do wioski?

— Tak sądzę: jestem już zupełnie dobrze, tylko nogi...

— Wesprzesz się na mojem ramieniu, i będziesz mi wskazywać drogę, a skoro dojdziemy do skał waszych, wskażesz mi jakiś kącik w którym będę mógł się przebrać.

— Dom mojej matki, odpowiedziała z prostotą Ludwika, jest na rozkazy pana.

Puścili się w drogę, ale zaledwie uszli kilka kroków dostała zawrotu w głowie, i byłaby upadła na piasek, gdyby jej Robert nie zatrzymał.

— Oprzyj się lepiej na mnie; siły moje, dodał spoglądając z uśmiechem na swą walizkę, dozwolą mi dojść tam wysoko z podwójnym moim ciężarem.

A! gdyby ta piękna hrabina d'Anglejean zobaczyła swego tancerza, swego tak częstego gościa, swego wielbiciela, bez kapelusza, krawata i tużurka, w przemokłej bieliźnie, z włosami poprzylepianemi do czoła, z walizką w ręku, prowadzącego prostą wieśniaczkę, pnącego się po kamienistej ścieżce do nędznej wioszczyny, liczącej trzydzieści chat poprzylepianych dziwacznie do skały, byłaby z pewnością wyparła się tak kompromitującej znajomości.

Droga była męcząca, i Ludwika znużona, zajęta jedynie myślą aby jej siły nie zawiodły zanim doj-

dzie do domu, nie powiedziała jeszcze swemu zbawcy gdzie go umieścić zamyśla.

Ukazały się pierwsze chaty. Jedno spojrzenie rzucone na te mieszkania wykute w skale, wystarczało aby nabyć przekonania że żadnej wygody spodziewać się tam nie można. Dym buchał przez drzwi otwarte, a na wydeptanym progu bawiły się swobodnie dzieci, nie widzące, jak się zdawało nic tak dziwnego w opłakanym stanie toalety Roberta, który dla niego był tak przykrym, bo jak zresztą wszyscy ludzie światowi, był bardzo dbałym o symetryczną poprawność swego ubrania.

Jeżeli jakaś wieśniaczka zbliżyła się do okna aby spojrzeć na przechodzącą parę, ciekawość jej drażniła Roberta. Cóżby to było gdyby dostrzegł z jak niewysłowionem zadziwieniem patrzyła na niego młoda panienka, świeża jak gałązka bzu białego. Siedziała ona w altance utworzonej z bluszczu rozpiętego na obręczach, a znajdującej się w małym ogródku, w którym nie było nic prócz cebuli, sałaty i trzech krzaków róż.

Jakaś robótka z czerwonej włóczki wysunęła się z jej rąk na nizki kamienny mur, oddzielający, ogródek od drogi, a następnie zsunąwszy się po gładkich liściach bluszczu, upadła przy nogach biednego Roberta.

Podniósł pomimowolnie głowę, i wzrok jego spotkał czyste i olśniewające spojrzenie, najpiękniejszych oczu jakie mu się spotkać zdarzyło. Były to oczy wielkie, czarne, o aksamitnym połysku, okolone długą rzęsą, odbijające silnie od matowo białej, wściągłej, myślącej i pełnej dystynkcyi twarzyczki.

Robertowi przyszło natychmiast na myśl że był tylko na pół ubrany; rozczochrany, śmieszny! Odwrócił natychmiast głowę, i o mało że nie wypuścił z rąk walizki.

Doprawdy! w przyjemnem postawił się położeniu! Trzeba być szaleńcem aby rzucić się do wody, jak pies Newfundlandzki, dla uratowania jakiejś nieznanej kobiety, cucić ją jak doktór, odprowadzać do domu jak przyjaciel, a nakoniec wyobrazić sobie, że można znaleźć przyzwoitą oberżę w miejscowości gdzie nory wygrzebane w ziemi zastępują mieszkanie domów!...

W tej chwili zapewnie, pyszne oczy ożywiające twarz bladą, przyglądają się wszystkim szczegółom jego dziwacznego ubrania... tak wszystkim, począwszy od poprzyklejanych jak plastry włosów, aż do braku tużurka i do przemokłej kamizelki z której woda spadała jeszcze gęstemi kroplami.

Nie wiedział biedak że nowa jeszcze oczekuje go nieprzyjemność.

Ludwika podniosła głowę i zawołała z wyrazem zadowolnienia:

— A! to ty panno Emelino! nie spodziewałam się że będziesz w ogrodzie gdy słońce tak dopieka.

Robert stanął jak wryty.

— Co ci się stało, Ludwiko? zapytała dźwięcznym choć trochę drżącym głosem panna Emalina.

— Wpadłam w rzekę!...

— Czy być może!...

— Ale ten pan mnie wyratował... Biegnij śpiesznie drogie dziecię... przygotuj matkę, uspokój ją... mogłaby się przestraszyć gdyby mnie nagle tak zmoczoną zobaczyła.

— Biegnę natychmiast!

Usłyszeli szelest poruszonych liści a następnie lekkie i śpieszne kroki w ogródku za murem.

— Chodźmy, rzekła Ludwika, będziesz pan mógł nakoniec odpocząć trochę!

Odpocząć!... więc ta kobieta nie rozumie że śmieszność jego położenia podwoiła się jeszcze? Że wysełając tę młodą panienkę do domu w którym miał znaleźć schronienie, już przez to samo czyniła mu wstęp do niego niepodobnym.

— Tak, siostra kapitana nie domyślała się bynajmniej, aby rzecz tak prosta mogła się wydawać jej wybawcy niepodobną do wykonania. Nie rozumiała drażliwości położenia Roberta, który przeczuwał, że spotkał tak niespodziewanie kobietę należącą do jednego z nim towarzystwa.

— Panno Ludwiko, odezwał się nagle grzecznie; ale stanowczym tonem, w takim jak obecnie stanie, nie mogę wejść do domu twej matki. Pierwszy lepszy zakątek w tej wiosce będzie stosowniejszym do przeprowadzenia niezbędnej w mojem ubraniu zmiany.

— Ale panie już stoimy przed domem.

— A! stoimy przed domem! powtórzył zwracając wzrok przerażony na mieszkanie, którego jedna połowa była zbudowana jak zwykle na wsiach, a druga zagłębiona w skale.

Niebezpieczeństwo było zbyt groźne aby można było namyślać się długo, wysunął lekko rękę na której opierała się jeszcze Ludwika, już teraz nie potrzebująca jego pomocy, i rzekł odchodząc śpiesznie:

— Najdalej za kwadrans zobaczymy się znowu.

Zdumiona Ludwika została sama na drodze.

O sto kroków dalej, Robert zobaczył mieszkanie całkiem urządzone we wnętrzu skały. Drzwi do niego były otwarte, jakby go zachęcały do wejścia; prócz kobiety zajętej szyciem nie było tam nikogo a na stole przy drzwiach, znajdowała się miedniczka, parę brzytew, i pęknięte lusterko, w stojących, drewnianych ramach. Było to mieszkanie balwierza.

Żona balwierza widząc wchodzącego do jej domu klienta całkiem niespodziewanego, ponieważ był to zaledwie środek tygodnia, i do tego jeszcze w tak dziwnem ubraniu, zadziwiła się bardzo, pomimo to wstała natychmiast, i ukłoniwszy się rzekła z grzecznością zdradzającą dłuższy pobyt w mieście:

— Co pan rozkaże?

Robert wskazał jej wyrazistem spojrzeniem opłakany stan swej toalety, a potem dodał:

— Wpadłem w wodę, i potrzebuję koniecznie osuszyć się i przebrać, daj mi pani jakibądź kącik w swoim domu, gdziebym mógł zmienić ubranie, bo niepodobno mi dłużej tak pozostać.

Żona balwierza była rozgarnięta, domyśliła się też zaraz do jakiej klassy społecznej gość jej należy, nie zmieszała się tem jednak, ponieważ mieszkając kiedyś w Bordeaux nauczyła się jak do kogo mówić należy.

— Wprawdzie nie mamy nie zajętego pokoju rzekła, ale natychmiast uprzątnę nasz, i będzie panu w nim równie dobrze jak w oberży... której zresztą nie ma tu wcale.

Oddaliła się spiesznie i otworzyła wązkie drzwi prowadzące do jakiejś ciemnej i zimnej komórki, która była pokojem sypialnym państwa Toulousse.

Robert wszedł do niego z prawdziwą przyjemnością, szczęśliwy że będzie mógł nakoniec zrzucić z siebie mokre ubranie. Wprawdzie było tam bardzo mało światła, ale uznał że przy zręczności można się było obejść bez niego, i rzeczywiście też w kilka minut po wejściu do ciemnej komory, wyszedł z niej jakby zupełnie przeistoczony.

Naturalnie wijące się blond włosy, lekko odrzucone z czoła zaczęły już wracać do zwykłego stanu, zgrabne i gęste wąsy ocieniały usta, stworzone jak się zdawało do swobodnego uśmiechu i dowcipnych słówek. Co do ubrania, to było może zbyt wykwintne w podobnej miejscowości, ale pomimo to Robert wyglądał w niem bardzo dobrze.

Robert wychodząc chciał ofiarować coś pani Toulousse za jej grzeczność, ale przypomniał sobie że jego portmonetka pozostała w rzece, a w walizce miał tylko bilet na tysiąc franków. Spodziewać się że go będzie mógł zmienić wśród tych skał, byłoby dowodem zbyt wielkiej naiwności; jedna tylko Ludwika Rovelou mogła go wybawić z kłopotu, ale trzeba było pójść do niej, a jakże się oddalić nie zapłaciwszy. Z tego powodu był zmuszony zapytać się gospodyni czy nie byłoby to nadużyciem jej grzeczności; gdyby zatrzymał do jutra pokoik, w którym pozwoliła mu zmienić ubranie.

— Powiedziałaś mi pani że tu nie ma oberży, a ja nie będę mógł dziś ztąd odjechać.

— Niech pan pozostanie u nas, odpowiedziała po krótkim namyśle. Mąż mój prześpi się w oborze, a ja pójdę do siostry.

Robert podziękował jej grzecznie, ucieszony że ma już zapewnione schronienie na noc, w razie gdyby nie mógł dostać się przed wieczorem do jakiejś przystani dla pasażerskich statków.

Pani Toulousse tymczasem przyglądała się z widocznem podziwieniem pięknemu nieznajomemu, który tak niespodziewanie znalazł się w jej domu.

Robert poszedł tąż samą drogą którą przebiegł tak niedawno, i wkrótce zobaczył nizki mur i bluszczową altankę z której jednak teraz już nie patrzyły na niego aksamitne oczy, i zobaczył nareszcie dom matki Rovelou.

Na progu stały trzy kobiety z oczami zwróconemi na drogę, i zdawały się czekać na niego; jedna z nich zobaczywszy go wzniosła ręce do nieba, druga wybiegła na jego spotkanie, trzecia zaś stała we drzwiach spokojnie, oświetlona blaskiem słońca

— A panie!... panie!... wołała Ludwika, przecie pan do nas idzie!... Ja się już tak niepokoiłam, sądząc że pan nie przyjdzie wcale, aby uniknąć naszych podziękowań.

— Mój zacny przyjaciel Rovelou, nie darowałby mi nigdy, gdybym nie odwiedził jego matki.

— Która zawdzięcza panu życie córki... Gdyby nie pan byłabym z pewnością utonęła.

— O! nie przesadzajmy, panno Ludwiko, minutę później byliby cię uratowali wysłani przez kapitana ludzie.

— Nie panie, przez tę minutę byłabym się dostała pod koło... niech pan tylko spojrzy już mi pozostawiło znak na czole.

Mówiąc to pokazała mu nad skronią, dużą siną plamę, pochodzącą widocznie od silnego uderzenia.

— Pan mi ją uratowałeś od śmierci!... ona opowiedziała mi wszystko!... zawołała matka Rovelou, do której zbliżył się Robert, i powitał tak pełnym uszanowania ukłonem jak gdyby była jakąś księżną. Trzeba jednak wyznać że przynajmniej połowa tego ukłonu była zwróconą do stojącej obok panny Emeliny.

Robert oświadczył że sprawiło mu to prawdziwą przyjemność, że ratując siostrę kapitana Rovelou, mógł choć w części wypłacić się z długu, jaki zaciągnął względem niego kilkanaście miesięcy temu.

— Więc syn mój oddał panu jakąś przysługę? zapytała z żywem zajęciem staruszka.

— Tak, wyzwolił mnie z rąk trzech niegodziwców, usiłujących wydrzeć mi pieniądze, zegarek,

a prawdopodobnie i życie, bo noże zaczęły już błyskać nad moją głową.

— I on przybiegł panu na pomoc?...

— Rzucił się na nich mężnie nie zważając na ich noże, i zmusił do poddania się, uderzając pięścią na prawo i lewo; ja zaś jestem najsilniej przekonany, iż jemu tylko zawdzięczam że owej nocy nie utraciłem życia.

— Ah! jakiegoż ja mam zacnego syna! zawołała staruszka, pod wpływem macierzyńskiej dumy.

Robert odwracając w ten sposób uwagę od siebie ułatwiał swoje położenie, a zaspokoiwszy ciekawość staruszki, prosił ją aby go uważała tylko za przyjaciela swego syna, któremu miło będzie pomówić o nim z jego rodziną, i ażeby nie myślała już o wdzięczności, do której on nie przyznaje sobie tak dalece prawa.

Ma się rozumieć że go niesłuchano; Ludwika zaczęła opisywać z wszelkiemi szczegółami następstwa swej niezręczności, jak wpadła w rzekę, straciła przytomność, jak wreszcie kiedy ją już ocucono, nie mogła długo jeszcze zebrać myśli, przez co nawet nie była w stanie okazać swemu wybawicielowi jak dalece była mu wdzięczną.

Robert widząc że nie potrafi wstrzymać potoku tych wynurzeń, postanowił czekać cierpliwie końca, tym więcej że młoda panienka z pięknemi oczyma słuchała ich z zajęciem, a w końcu odezwała się ściskając rękę Ludwiki:

— Ja także jestem panu winna wiele wdzięczności, bo Ludwika Rovelou jest dla mnie matką... więcej prawie niż matką, dodała z pewnym odcieniem goryczy.

— Panna Emelina dla tego tak mówi, odezwała się z niejakiem zakłopotaniem Ludwika, że po części ja zajmowałam się jej wychowaniem. Było to jednak bardzo łatwe zadanie... Gdyby wszystkie dziewczynki były do niej podobne, to doprawdy...

Emelina chcąc przerwać dalsze pochwały uściskała Ludwikę, a matka Rovoleu zaczęła napełniać mlekiem wielkie niebieskie filiżanki.

IV.

To zdarzenie rozpoczęte dramatycznie a zakończone sielanką, oderwało Roberta od posępnych jego myśli, przygłuszyło boleść dręczącą go od chwili, w której piękna hrabina odmówiła mu swej ręki. Co więcej, — czego nie przypuściłby nawet jeszcze wstępując na statek,—chciał sam szukać wśród tak nowego dla siebie otoczenia, środków dopomagających do wyzwolenia się z pod wpływu bolesnych wspomnień.

Już sama sprzeczność między tem co widział obecnie koło siebie, a tem na co przywykł patrzéć ciągle, wprowadzała na inny tor jego myśli. Ta młodziuchna, pełna dystynkcyi i jakiejś smętnej powagi panienka, obok dwóch prostych wieśniaczek, ta uboga chata, zapach świeżego mleka i polnej róży, jakże to odmienny obraz od tego który tak głęboko wyrył się w jego sercu.

Kobieta piękna, zimna, zalotna, wspaniały pałac, salony przepełnione wielbicielami, rozmowa czcza chociaż błyskotliwa, zniweczone nadzieje!... Czy kiedy pociągający go tam urok, i boleść rozczarowania zatrze się w jego pamięci?... Tego się nie spodziewał, ale miło mu było że choć na chwilę mógł wyzwolić się z pod ich despotycznej władzy.

Tu, w tej malowniczej wiosce nie było nic sztucznego, natura panowała tam samowładnie, zaledwie pozwalano sobie na drobne jakieś ulepszenia Dom rodziny Rovelou zawdzięczał tylko cywilizacyi kawałki ścian zbudowanych z cegły, w których urządzono dwa pokoiki z kominkami, reszta mieszkania zagłębiała się w skałę. W tej miejscowości był to już zbytek, ale proste drewniane sprzęty, kuchenne i stołowe naczynia, szara bielizna, pozostały takie same jak były przed laty.

Matka Rovelou powiedziała Robertowi, że to kapitan kazał tak dla niej przebudować ten domek, jak tylko zdołał zaoszczędzić trochę pieniędzy, bo co do niej było jej i przedtem równie w nim dobrze. Teraz, z wyjątkiem domów należących do kilku właścicieli trochę większych kawałków gruntu, którzy wybudowali je całe z cegły jakby wielcy panowie, jej mieszkanie było najwygodniejsze.

Robert potwierdził jej zdanie wińszując zarazem że mieszkańcy obok widocznego poszanowania dawnych zwyczajów, potrafili do niego wprowadzić trochę nowoczesnego komfortu.

To wyrażenie wywołane zapewnie widokiem dwóch wielkich łóżek otoczonych firankami z ciemnej wełnianej tkaniny, a może i zwojem białego muślinu ukazującym się przy każdym podmuchu wiatru, we drzwiach od przyległego pokoju, wywołało lekki uśmiech na usta Emeliny.

Robert domyślał się że te białe firanki muszą przyozdabiać jej gniazdko, ale nie mógł pojąć tego czemu osoba z tak pańską powierzchownością i ułożeniem, wybrała sobie podobne schronienie.

Teraz mógł przypatrzyć jej się lepiej jak przy pierwszem spotkaniu. Jeżeli wydała mu się tak piękną to jedynie dzięki zachwycającej piękności swych oczu, ospa, ta straszna choroba dla której niczem są młodość i wdzięki, pozostawiła na jej szlachetnej i łagodnej twarzy swe niezatarte ślady. Z czasem wprawdzie stały się one mniej wyraźne niż z początku, ale zawsze przyćmiewały pociągającą twarzyczkę tej która musiała być kiedyś zachwycającem dzieckiem, o ile trzeba było wnosić z wykończenia rysów i uroczego wdzięku rozlanego w całej fizyognomii.

Pan de Madiran patrząc na nią zadawał sobie pytanie czy to po swej pierwotnej piękności nosiła żałobę, żałobę moralną tylko, bo miała na sobie suknię z błękitnego płócienka, ale wyraz twarzy był poważny i smętny.

Kiedy w parę godzin później Robert zapytał jakim sposobem będzie mógł dostać się na jakiś statek płynący do Royan, matka Rovelou zasmuciła się szczerze, a Ludwika zawołała z żywością:

— Dla czegóż pan chce odjeżdżać tak zaraz, nie zwiedziwszy okolic, nie odpoczywszy nawet dobrze? Czemu nie zaczekać na kapitana?

— Więc ma tu przybyć? zapytał Robert.

— Tak, z pewnością przybędzie... Kto wie czy nie zobaczymy go jutro, odpowiedziała Ludwika.

Pan de Madiran pomyślał że nie ma po co tak się śpieszyć do Royan, że kapitan ucieszy się bardzo gdy go zastanie jeszcze pod swym dachem, on zaś może pozostać dłużej, skoro już ma zapewnione schronienie u balwierza Toulousse. Oświadczył więc że nadzieja uściśnięcia ręki zacnego kapitana jest dostateczną do zachęcenia go aby pozostał do jutra, ale o pomieszczenie go na noc troszczyć się nie potrzebują ponieważ już znalazł schronienie w domku Figara z Accroches.

— Tam panu będzie bardzo niewygodnie, odezwała się Emelina.

— O! niech się pani nie lęka! Kto służył jako ochotnik w czasie wojny z Prussakami i podzielał nędzę i cierpienia francuzkiej armii, temu Accroches mogą się wydawać Kapuą, a dom Toulousse'a pałacem!...

Wesoły ton jego mowy i wywołane wspomnienia, ośmieliły Emelinę dotąd prawie ciągle milczącą, zaczęła brać udział w ogólnej rozmowie, wyrażając się poprawnie a często dowcipnie. Ta „uczennica“ Ludwiki Rovelou wyścignęła o wiele swą nauczycielkę, która też teraz przysłuchiwała się jej słowom z widocznem zachwyceniem.

Prostota towarzyszek Emeliny uwydatniała silniej jeszcze wrodzoną jej pańskość, i pan de Madiran był przekonanym że znajduje się w obecności osoby należącej do wyższej sfery społeczeństwa, rzuconej dziwnem jakiemś zrządzeniem losu w ten cichy zakątek kraju; postanowił też zażądać od Ludwiki wyjaśnienia tej tajemnicy.

Siostra kapitana która już zupełnie odzyskała siły, zaproponowała przechadzkę wśród malowniczych skał wybrzeża, na co się też chętnie zgodzono. Matka Rovelou upomniała tylko aby się nie spóźniono na kolacyę, Emelina włożyła słomkowy kapelusz na swą główkę uwieńczoną grubemi warkoczami kruczych włosów. Ludwika według miejscowego zwyczaju przysłoniła, chustką siwiejącą głowę, i poszli jedyną ulicą wioski z prawdziwem zadowolnieniem Roberta, któremu całe to zdarzenie wydawało się coraz oryginalniejszem.

Nie była zbyt długą ulica przyciśnięta do skał powydrążanych jak przetaki i kryjących w sobie mieszkania tej nadbrzeżnej ludności, której usposobienie równie łatwo było poznać już z jej ukłonu i uśmiechu, jak wnętrza domów przez drzwi zawsze otwarte. Pełne prostoty obyczaje, wrodzona grzeczność, otwartość charakteru.

Widocznem było że Emelina znała wszystkich, i że ją wszyscy kochali. Dzieci przybiegały do niej nadstawiając swe ogorzałe od słońca buziaki; matki witały pełnem życzliwości i uszanowania „dzień dobry;“ starzy rybacy zdejmowali swe wełniane czapki, nawet psy radowały się do niej.

— Jak widzę pani tu jest od wszystkich kochaną, odezwał się pan de Madiran.

— O! bo też już tak dawno mnie znają! odpowiedziała spoglądając z miłym uśmiechem na wszystko co ją otaczało.

— W takim razie musiała pani przepędzić w Accroches swe dziecinne lata.

— Tak panie... Poczciwa moja mamka mieszkała tam na lewo... gdzie teraz widać tylko coś podobnego do pagórka pokrytego zielenią, bo skała zbyt głęboko wyżłobiona zapadła się pewnego dnia, i odłamami swemi zasłała dno Żyrondy.

Weszli teraz na drogę wysadzoną topolami i ciągnącą się nad brzegiem rzeki, spokojny i miły widok rozciągał się przed ich oczyma: w dali migało się coś podobnego do rozpostartych białych skrzydeł, były to żagle snujących się po rzece lekkich i szybkich statków lub wielkich ciężkich łodzi.

Rybacy oczyszczający nad brzegiem swe łódki, śpiewali coś przypominającego francuzki romans i kreolską balladę. Byli oni kiedyś marynarzami, i pozostały im wspomnienia ze wszystkich tych krajów w których czas jakiś przebywali. Emelina zaczęła nucić pomimowolnie tęż samą kreolską piosenkę.

Była to nuta dobrze znana Robertowi, słyszał ją często wychodzącą z ust hrabiny d'Anglejean, kiedy wielbiciele jej zdołali ją uprosić aby zaśpiewała. Zadrżał usłyszawszy ją teraz tak niespodziewanie; przywiodła mu ona znów na pamięć drogie i bolesne wspomnienia, i zdawało mu się że najprędzej będzie mógł wyzwolić się od nich, rozpoczynając rozmowę

z tą młodą panienką, odznaczającą się ułożeniem tak zarazem swobodnem i poważnem.

— Pani nuci tę balladę jak gdyby już dawno była pani znaną.

— Bo też tak jest rzeczywiście; śpiewano mi ją jeszcze nad kołyską.

— Może jest także dla pani przypomnieniem rodzinnej ziemi?

Robert nie umiałby sam odpowiedzieć na czem opiera to przypuszczenie, może nasunęło mu się kiedy patrzył na ruchy Emeliny odznaczające się tym niewysłowionym wdziękiem właściwym kreolkom.

— Powiedz mi, Ludwiko, rzekła spokojnie Emelina zwracając się do swej towarzyszki, gdzie jest rzeczywiście mój kraj rodzinny.

Robert był zdumiony tem pytaniem. Jakto! więc ona nie wie gdzie się urodziła?

Ludwika zapewniła ją że jest francuzką i to dzięki Bogu prawdziwą francuzką, gdy tymczasem mieszkańcy kolonij są tylko pół-francuzami, jeżeli nawet nie samozwańcami tylko.

Ostatnie jej słowa rozśmieszyły Roberta i Emelinę, a następnie zaczęli się zastanawiać nad charakterystycznemi cechami każdej z tych ras.

Emelina posiadała wiele wiadomości naukowych, ale te były trochę rozproszone, jak gdyby nie miała czasu czy też sposobności ułożenia ich w systematyczną całość, jak gdyby umysł jej rozwijał się bez ożywczego kierunku.

Zagadka stawała się coraz bardziej pociągającą i coraz więcej zajmowała Roberta, cieszącego się że znalazł tak miłą rozrywkę na czas pobytu w Accroches.

Wrócili do domu rozmawiając ciągle, ale rozmowa toczyła się teraz o takich przedmiotach że Ludwika nie mogła już brać w niej udziału. Mogła być kiedyś wzorową boną, ale nauczycielką, nigdy!

Matka Rovelou czekała już na nich z wieczerzą prawdziwie wiejską, ale z pewnością żaden smakosz nie je z taką przyjemnością przysmaczków sporządzonych w najpierwszej restauracyi paryzkiej, jak pan de Madiran zjadł zupę z kapustą, kartofle pieczone, omlet na słoninie i ryby świeżo złowione w Żyrondzie.

Wieczór wydał mu się bardzo krótkim, i był zmuszony wyznać w duszy że ta cała miejscowość i wszystko co go otaczało, wywierało na niego taki wpływ jakby jakieś środki uśmierzające gorączkę.

Ani wiek ani nawyknienia matki Rovelou, nie dozwalały jej zmieniać raz przyjętych zwyczajów, nawet dla takiego gościa jak pan de Madiran, skoro więc tylko księżyc posrebrzył swem błękitnawem światłem powierzchnię rzeki, zapytała go spokojnie:

— Już czas udać się na spoczynek, czy pan chce odmówić z nami modlitwy wieczorne?

Robert przystał na to chętnie.

W całej wiosce już głęboka panowała cisza, tylko nieustanny szum wody dochodził jeszcze do tego domku przed którego drzwiami zamierzano rozpocząć wieczorne modły.

W Accroches nie było kościoła, a najbliższy znajdował się zbyt daleko aby staruszka mogła dojść do niego, ale nawet w najwspanialszej świątyni nie umiałaby się modlić goręcej, jak tu pod gołem niebem, kiedy cienie nocy zdawały się kołysać do snu całą naturę.

O! tak, łatwo się było modlić szczerze, gorąco, wśród skał w Accroches, w ten śliczny wieczór czerwcowy, ciepły i przepełniony wonią polnych kwiatów.

Było coś prawdziwie majestatycznego w postawie i głosie tej wieśniaczki, dziękującej Bogu i wzywającej Jego opieki przed udaniem się na spoczynek.

Robert ciągle jeszcze rozgorączkowany z powodu swych zawiedzionych nadziei, czuł że jakiś spokój zstępował mu do serca przy tej wspólnej modlitwie, pod gwiaździstem niebem.

— Dobranoc panu, rzekła sędziwa wieśniaczka, skończywszy pacierz. Oto już skończył się jeden z najpiękniejszych dni w mojem życiu... a dni takich miałam wiele... Przyjaciel mojego syna uratował móją córkę, spożywał wspólnie z nami dary Boże pod moim dachem!

Robert nie umiał dać stosownej odpowiedzi na te słowa pełne jakiejś starożytnej prostoty, zbliżył się więc do sędziwej wieśniaczki i ucałował ją tak szczerze i z takim szacunkiem jak gdyby była jego babką.

Uścisnął rękę Ludwiki, a szukając wzrokiem Emeliny aby się z nią pożegnać, dostrzegł ją w pierwszej izbie, gdzie zapaliwszy lampkę, poprawiała poduszki na łóżku matki Revolou.

— Panno Emelino! zawołała staruszka.

Ale dziewczę zajęte swoją czynnością nie usłyszało wcale jej głosu już przez wiek bardzo osłabionego, i Robert przypatrywał jej się już dość długo gdy spełniała to dobrowolnie na siebie przyjęte zajęcie, do którego nie zdawała się być stworzoną, kiedy idąc naprzeciwko matki Rovelou, spotkała zwrócone na siebie oczy Roberta, śledzącego z zajęciem wszystkie jej ruchy, i który złożył jej głęboki ukłon w chwili gdy podawszy rękę sędziwej wieśniaczce wprowadziła ją wewnątrz domu, którego drzwi Ludwika zamknęła za nimi.

— Panna Emelina powiedziała że jest twoją wychowanką panno Ludwiko, rzekł Robert zatrzymując siostrę kapitana, ale sądzę że mogłaby powiedzieć także iż jest twoją przyjaciółką, twoją córką... bo widocznie jest do ciebie bardzo przywiązaną.

— O! panna d'Anglejean posiada nieocenione serce! odpowiedziała z przejęciem Ludwika.

— Panna... d'Anglejean!... wybąkał Robert odskakując.

— Tak, to jej nazwisko, odpowiedziała spokojnie Ludwika, zdawało mi się że już wymieniłam je panu.

— Nie... nie... i gdybyś wiedziała!... O! to dziwny zbieg okoliczności! Widzę że to widmo już wszędzie ścigać mnie zamierza.

Kiedy Ludwika zwróciła na niego zadziwione spojrzenie, ścisnął ją za rękę i oddalił się śpiesznie, jakby chciał uciec jak najprędzej od miejsca w którem znajdowała się istota nosząca nazwisko d'Anglejean, które przywodziło mu na pamięć tak bolesne wspomnienia.

V.

W domku balwierza oczekiwano już na Roberta. Komórka nazwana pokojem sypialnym przedstawiała się teraz trochę lepiej. Łóżko musiało być przerażająco twarde, na ścianach z szarej skały nie było żadnego obicia, ale pościel została świeżo powleczoną, woda stała w białym fajansowym dzbanku; ziemia równo ubita zastępowała posadzkę.

Sam właściciel wprowadził tam swego niespodziewanego gościa. Był to człowiek nizki, szczupły, dawny żołnierz, śniady jak oliwka i wesoły jak szpak.

Źródła zarobku tak były ograniczone w Accroches, że obecność pana de Madiran pod jego dachem wydała mu się nader korzystną, to też uśmiechnięty i uradowany nie szczędził oświadczeń gotowości na jego usługi, a że kiedyś był ordynansem kapitana swej kompanii, zaręczał że potrafi zastąpić miejsce lokaja. Robert podziękował mu grzecznie, oświadczając że nie potrzebuje nic prócz spoczynku.

W myśli jego brzmiało ciągle jak odgłos dzwonu jedno tylko nazwisko, „panna d'Anglejean!“ Co za szyderstwo losu!..

Leżąc z otwartemi oczyma na swem twardem posłaniu, Robert przypominał sobie z rozpaczliwą dokładnością dzieje dwóch ostatnich, najniespokojniejszych lat w jego życiu.

Urodzony w rodzinnych dobrach w Szampanii, w których ojciec jego przepędzał zawsze jakąś część roku, wychowany i zamieszkały w Paryżu, wskutek własnej swej woli i dzięki osobistemu majątkowi, wybrał nagle Bordeaux za najmilsze dla siebie miejsce pobytu. Ale też w tem mieście które zwiedzał jako turysta. jeden z przyjaciół wprowadził go do arystokratycznego salonu, świeżo otwartego przez osobę prowadzącą prawdziwie koczujące życie, gdyż podróżowała ciągle po wszystkich częściach świata.

Była bogata, fantastyczna i olśniewająco piękna. Było to więcej niżeli potrzeba, aby w naszej lekkomyślnej epoce, zwrócić na siebie uwagę i zawracać głowy.

Pomimo nieukrywanej chęci utrzymania swej niezależności, hrabina Cezaryna d'Anglejean, była otoczona rojem wielbicieli starających się o jej rękę. Wszyscy ludzie bezżenni z całego departamentu, składali jej korne hołdy, w celu pozyskania tak pięknej rączki.

Hrabina była wdową, przyznawała się do dwudziestu czterech lat życia, a jakkolwiek mówiła ciągle o swem zamiłowaniu do niezależności, wrodzona zalotność kazała jej szukać coraz nowych hołdów.

Robert de Madiran został od pierwszej chwili olśniony jej zachwycającą, ponętną pięknością, i może dla tego właśnie nie dostrzegł nigdy, zdradzającej się w jej postępowaniu lekkości i zmienności charakteru.

Był jeszcze niedoświadczonym i pełnym złudzeń, gdyż w czasie jego pobytu w Paryżu strzegły go rady ojca i żałoba po ukochanej matce.

Hrabina d'Anglejean ukazała mu się jako upragniona, wymarzona towarzyszka życia, jako idealny typ wdzięku i powabów. Zaledwie śmiał uważać się jej godnym, i upłynęło kilka miesięcy zanim poważył się oświadczyć o jej rękę.

Hrabina osądziła że zwlekał zbyt długo, nie dla tego aby była dla niego lepiej usposobioną jak dla innych, ale że ją to korciło iż dotąd nie mogła zapisać tak pięknego i miłego chłopca na liście swych zdobyczy.

Pochlebiała jej dumie pewność że przewyższa inne kobiety elegancyą i pięknością. i że dopóki nie oddali się lub nie zrobi wyboru, najpiękniejsze dziewczęta w Bordeaux mogą się obawiać aby nie zostały pannami. Bawiła ją rywalizacya, śmieszyły gniewy, żartowała z rozpaczy, i zapewnie z tego powodu przedłużała swój pobyt w Bordeaux.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 27.

N. 1 — 2. Ubrania domowe lub spacerowe.

N. 1. Ubranie ze stanikiem z baskiną i draperyą upiętą na spódnicy. Upięcie draperyi tylnej i krój kołnierza na arkuszu z formami Nr VII, Fig. 23 — 24a.

Fason ten najlepiej się wydaje odrobiony z jasnego gładkiego i ciemniejszego kropkowanego materyału; na modelu materyał gładki był jasno popielaty, a deseniowy szafirowy. Stanik z przodu ścięty w dwa bawetowe końce, ma z tyłu długą frakową baskinę i kołnierz podwójny z przodu z dużym szalowym ranwersem, kraje się podług Fig. 23 — 24 i łączy podług odpowiednich znaków. Przednia draperya składa się z dwóch prostych, szerokich brytów, w górze zeszytych na 50 cent. długości, poniżej w 3 głębokie fałdy złożone i kokardą z okutemi końcami spięte; boki draperyi fałdowane, podchodzą pod upięcie tylne. Pod górną draperyę u dołu podszyte są od spodu dwa proste bryciki z deseniowego materyału, rozchodzące się skośnie, szeroko do dołu, z pod których wygląda naszyte na spódniczce atłasowe plisowanie. Na Fig 24a wskazane jest upięcie i ubranie atłasem, prostego bryta z tyłu. Kokardy z atłasu. Kreza i mankiety z bretońskiej koronki. Kapelusz z ciemnej słomki ubrany kwiatami i alzacką kokardą. Parasolik z gładkiego i deseniowego jak suknia materyału.

N. 2. Ubranie z draperyą tunikową. Forma i miary tuniki Fig. 26.

Ubranie z płótna écru ma spódniczkę oszytą szerokiem w duże fałdy układanem plisowaniem, przedzielanem w odstępach 18 cent., płasko zaprasowaną, 7 cent. szeroką kontrafałdą, z brzegów podgarnirowaną koronką 4 cent szeroką z wierzchu mającą naszyty szeroki pas haftu robionego w maszynie albo krzyżykami, kolorem różowym, niebieskim i brunatnym.

Przednia część krótkiej tunikowej draperyi, oznaczona jest literą *a* na Fig. 26, w skośnie ściętych brzegach zaszywa się 3 fałdy, w miejscach krzyżykami i punktami oznaczonych; w górze daje się zaszewki. Bryt tylny którego połowę oznacza litera *b*, jest od góry 60 cent. przefałdowany, dalej wolno spuszczony. Garnirunek tuniki stanowi drobne, 5 cent. szerokie plisowanie, u dołu podszyte marszczoną, żółtawą koronką. Stanik ma baskinę odcinaną z przodu; kołnierz związany na sznury z okuciem. Kapelusz ryżowy podszyty kolorowym atłasem, ubrany wstążką, piórami i kwiatami.

N. 3. Szlak na meble, kosze, portjery i t. p. Haft różno kolorową filozelą lub włóczką na materyale wełnianym lub płotnie szarem.

N. 4 — 7. Serwetki z kanwy jawa lub płociennej ozdobione haftem krzyżowym i kratką ażurową.

Modele serwetki miały wraz z frendzlą 52 cent. długości a 34 szerokości. Szlaczek do ryc. 4 dajemy wraz z kratką na ryc. 7; rycina 5 oprocz szlaczku któren podamy w N. 28 na ryc. 27, zdobi dodana w górze kratka 4 cent. szeroka. Do ryc. 6 której model robiony był na kanwie płóciennej, łatwo wybrać można deseń w poprzedzających N-rach Tygodnika Mód. Frendzla siepana ma 2 — 3 szerokości.

N. 8. Kapelusz z fantazyjnej słomki dla małej dziewczynki, podszyty marseliną tego koloru co wstążka w atłasie, 3 cent. szeroka.

N. 9. Kapelusz z białej słomki, dla małej dziewczynki, ubrany był chusteczką jedwabną różową, ze szlakiem blado niebieskim, trzymająca 50 cent. w kwadrat i wstążką $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką w kolorze różowym i niebieskim.

N. 10 — 11. Ubranie z długą draperyą à panier.

Model do ryc. 10 odrobiony z kaszmiru w jasnym kolorze i suto przystrojony drobno plisowanemi falbankami 6 cent. i wstawkami koronkowemi wywodzonemi złotem, 7 cent. szerokiemi. Na ryc. 11 mamy takim samym fasonem odrobioną, lecz mniej suto przystrojoną suknię kretonową, z ciemniejszemi kretonowemi plisami. Spódnica z tyłu i z boków oszyta jest dwoma plisowaniami i plisą lub wstawką koronkową, bryt przedni w połowie górnej jest przemarszczany, w dolnej zagarnirowany plisowaniem i wstawkami. Bryt tylny w środku podpięty sposobem wskazanym na ryc. 11, z lewego boku jest przyfałdowany i do panier przyszyty, z prawego oszyty plisowaniem i w długi pukiel podpięty zachodzi na panier.

N. 12. Płaszczyk podróżny z pelerynowemi rękawami. Krój Nr I, Fig. 1 — 5.

Płaszczyk taki może zarówno być odrobiony z lekkiego sukienka, szewiotu, lub dubeltowego kaszmiru, albo też z bastu, alpagi i t. p. materyałów. Ładne guziki, stębnówki albo odmienne wypustki, stanowią całą ozdobę. Szerokie rękawy tworzą z tyłu rodzaj peleryny. Fig. 1a do 5a przedstawia w zmniejszeniu stosownie zestawione wszystkie części formy. Ranwersy przy przodach podszywają się 2 centym. po za oznaczenie linijką, pod dziurki



N. 1 — 2. Ubrania domowe lub spacerowe.

N. 1. Ubranie ze stanikiem z baskiną i suto przybraną spódnicą. Krój kołnierza na arkuszu Nr VII, Fig. 23 — 24a. N. 2. Suknia z tuniką. Krój tuniki na arkuszu Nr IX, Fig. 26.

i guziki daje się listwy 6 — 8 cent. szerokie. Dół oszyty jest w koło 33 cent. szeroką falbaną z nagłówkiem ułożoną w 7 cent. szerokie kontrafałdy, na którą potrzeba 400 cent. długości. Oprocz kołnierza wszytego do wykroju od G do H, dodaje się falbankę 8 cent. szeroką.

N. 13 — 14. Płaszczyk podróżny z pelerynką. Krój Nr XII, Fig. 29.

Płaszczyk ten jest z peleryną a bez rękawów; plecy z przodami zeszywają się na ramionach od gwiazdki do dwukropka a brakującą długość z tyłu i z boków dopełnia falbana 36 cent. szeroka, której fałdy w połowie szerokości są tasiemką od spodu podszyte. W przednich brzegach peleryny nitki powinny iść prosto podłużnie, środek od góry na 38 centym. długości zeszywa się i do pleców przystębnowywa, reszta od dołu pozostaje otwarta. Kołnierzyk mały stojący. Kieszonki stębnuje się od punktu do dwukropka na fałdach falbany.

N. 15 — 16. Ubranie strojne do lekkiej żałoby.

Rycina 15 przedstawia suknię z gazy jedwabnej białej w paski czarne, ubraną czarnym atłasem i wstawkami z białej koronki podwleczonemi czarno; a na ryc. 16 widziemy tylne upięcia podobnej sukni, odrobione z materyału białego w rzucik czarny.

N. 17 — 18. Ubranie strojne ze stanikiem z odmiennego materyału.

Na ryc. 17 — 18 dajemy z przodu i z tyłu suknię z blado żółtego jedwabnego bastu, ze stanikiem z atłasu koloru heljotropu, w rzucik blado żółty. Tylny i boczne bryty spódnicy oszyte są dwoma 10 cent. szerokiemi plisowanemi falbankami, które z przodu przedzielane są bufkami 9 cent. szerokiemi z deseniowego materyału. Draperya dużo z boków przyfałdowana oszyta jest falbanką z gładkiego i plisą z deseniowego materyału, które od 4 cent. przedniej rozszerzają się stopniowo do 12 centym. bocznej szerokości. Upięcie tylne składa się z bryta 104 cent. długiego, w górze 40, u dołu 76 cent. szerokiego, którego boki sfałdowane są do 50 cent., oraz z kawałka 44 cent. długiego a 80 szerokiego, oszytego plisowaniem 8 cent. szerokiem, a w górze ściśle sfałdowanego i przymocowanego kokardą, pod brytem górnym.

N. 22. Ubranie z pelerynką pod włosy po kąpieli. Krój pelerynki N. X, Fig. 27.

Ranną suknię formą princesse, odrobioną z kretonu w drobną kratkę, nosić można z paskiem albo puszczoną. Środkiem przodu dana jest 15 cent. szeroka listwa, zakończona z brzegów wypustką i plisowaniem 4 cent. szerokiem. U dołu nad falbaną mającą 30 cent. dane plisowanie 5 cent. i pliska z wypustkami 3 centym. szeroka. Na Fig. 27, dajemy model i miary pelerynki ceratowej chroniącej suknię od zmoczenia włosami po kąpieli, którą oszywa się riuszą z szerokiej, ponsowej wełnianej tasiemki.

N. 23. Ubranie do kąpieli, dla dziewczynki lat 7 — 9. Krój na dodatku Nr V, Fig. 20 — 21a.

Bluzka i majtki krają się razem z flaneli, „lescotu" lub bawełnianych materyałów przecinają podług oznaczonej linii i wszywają razem ze spódniczką 19 cent. długą a 175 szeroką w pasek $3\frac{1}{2}$ cent. szeroki. Zapięcie na guziczki urządza się w spódniczce i na ramieniu z lewego boku a stronę prawą się zeszywa. Klinik którego połowę dajemy na Fig. 21 wszywa się w majtki od *m* do *n*, nogawicę zeszywa się od *o* do *p* a szew tylny od *o* do *q*. Plisy z materyału ciemnego w biały rzucik i ząbki z płócienki służą do przystrojenia kostjumu.

N. 24 — 26. Ręczniki do kąpieli.

Najpraktyczniejsze i najwięcej używane ręczniki kąpie-

lowe, są z grubego i miękiego materyału zwanego „rubber.“ Ryc. 24 przedstawia taki ręcznik popielaty w paski ponsowe i szafirowe, a ryc. 25 w drobniejsze paski ponsowe, białe i niebieskie; zakończone z brzegów poprzecznych frendzlą siepaną 5 cent. szeroką. Na rycinie 26 widziemy taki ręcznik biały z gładkiemi 8 cent. szerokiemi szlakami i frendzlą 10 cent. szeroką. Na szlakach wyszyty jest bawełną ponsową lub szafirową, ściegiem sznureczkowym lub łańcuszkowym, deseń załączony na arkuszu z formami Fig. 33. Długość ręcznika wynosi 138, szerokość 68 cent.

N. 27. Ubranie spacerowe. Forma draperyi Nr XI, Fig 28.

Przy sukni z ciemno niebieskiej satynki, plisowanie 40 cent. szerokie, kołnierz i mankiety były z takiegoż materyału w białe kropki. Model i miary tunikowej draperyi dajemy na Fig. 28. Przedni i boczne bryty tuniki przymarszcza się do 58 cent. długości, a dół oszywa się trzema jeden na drugi zachodzącemi rzędami koronki, która także przykrywa przyszycie na spódnicy części c. Te ostatnie przyszywa się na tylnych brytach spódnicy górnym brzegiem od gwiazdki do dwukropka gładko, a z boków do 25 cent. przyfałdowane, a z wolnych brzegów plisą 11 cent. szeroką oszyte zarówno jak i bryt tylny. Litera *d* oznacza połowę bryta tylnego, któren 100 cent. od góry jest przefałdowany i do spódnicy przyczepiony. Stanik z krótką baskiną przepasany paskiem zapiętym z boku pod kokardą.

N. 28—35. Ubrania do kąpieli morskich.

N. 28. Ubranie kąpielowe formą grecką. Deseń do wyszycia Fig. 35.

Długa suknia grecka zapinana na ramionach a w pasie przewiązana sznurem, składa się z 3 zeszytych z sobą brytów prostych, mających 145 cent. długości a 76 szerokości, u dołu i w górze oszywa się suknię plisą kolorową 6 cent. szeroką i zdobi szlakiem wyszytym włóczką ponsową ściegiem łańcuszkowym. Następnie bryt przedni składa się we dwoje i zakłada w górze 10 cent. na fałdę zapiętą węzłem ze sznura a w tyle zaszywa się kontrafałdę 8 cent. głęboką. 18 cent. od kontrafałdy, a 19 od węzła z przodu, przyszywa się guziki i pentelki ze sznura od spięcia ramion, reszta pozostaje na otwory do przełożenia ręki.

N. 29. Kostjum kąpielowy złożony z majtek i sukni wciętej w stanie. Krój Nr III, Fig. 14 do 18a. Kostjum robi się z flanelki kolorowej a plisy i kołnierz z flanelki białej wyszytej włóczką lub sutaszem kolorowym.

N. 30. Kostjum kąpielowy nie wcinany.

Kraje się podług formy do ryc. 29, tylko z brzegów przodu i w środku pleców dodaje się potrzebną ilość materyału na $4^1/_2$ cent. szerokie kontrafałdy, kasując wcięcie pleców. Bluza ma z przodu 90, z tyłu 110 cent. długości a 225 dolnej szerokości; fałdy zaszywa się tylko do wcięcia w pasie. Pelerynkę 15 cent. długą kraje się podług Fig. 10, oszywa listewką w górze i przyczepia do wykroju sukni. Kolorowe pliski lub w maszynie haftowane szlaczki zdobią kostjum. Majtki kraje się podług formy do ryc. 29, tylko dolne części rozszerza się na przemarszczenie i trochę przydłuża na falbankę.

N. 31. Czepek do kąpieli uszyty z ceratki w drobny rzucik i garnirowany kolorową wełnianą tasiemką.

N. 32. Czepek ceratkowy z karczkiem. Krój Nr IV, Fig. 19.

Przy brzegu przednim i przy karczku, w miejscu cienką linijką oznaczonem, podszywa się listewkę perkalową do nawleczenia elastyki obciskającej czepek. Sześć do siedmiu cent. długie a 4 do 5 szerokie listki wycina się z ceraty, dzierga rzadko brzegi włóczką kolorową, fałduje u dołu i układa garnirunek przepięty w środku węzłem.

N. 33. Pantofel z materyału „rubber“ podszyty flanelą ponsową i ozdobiony haftem z aplikacyą podług ryc. 31 w N. 38.

Opis do N-ru 28.

N. 3 i 43. Kapotka batystowa dla małej dziewczynki.

Na rondko potrzeba kawałka batystu 83 cent. długiego, 11 szerokiego złożonego we dwoje przeszyte go kilka razy dla wsunięcia trzech rzędów trzcinki; główkę fałduje się z batystu podług ryc. 3, na podłożeniu sztywnego tiulu. Złączenie rondka z główką przykrywa skos batystowy 13 cent. szeroki a 32 długi, przepięty kokardami, z brzegów oszyty walensjanką. Trzcinki wsunięte w rondko liczą 68 55 i 49 cent. długości; przy twarzy da-



N. 3. Szlak do mebli lub t. p. Haft kolorami.

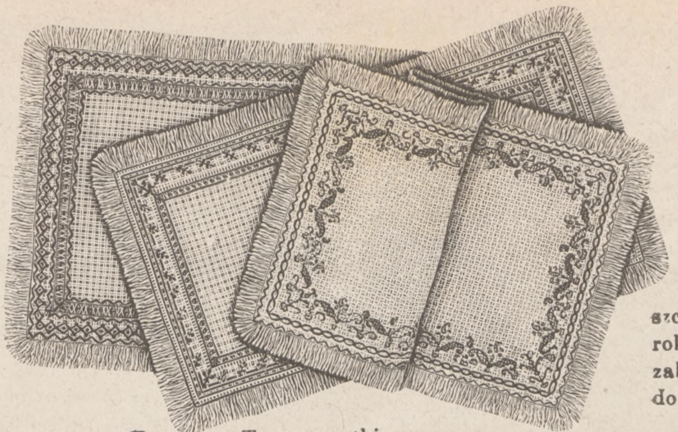


N. 8. Kapelusz zdobny wstążką dla małej dziewczynki.

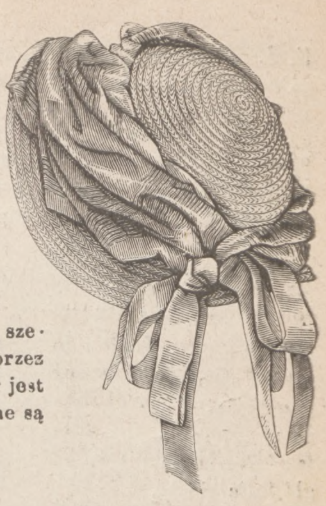
ne sute podgarnirowanie przepinane pukielkami z atłasowej wstążki.

N. 4 i 44. Czapeczka batystowa dla chłopczyka.

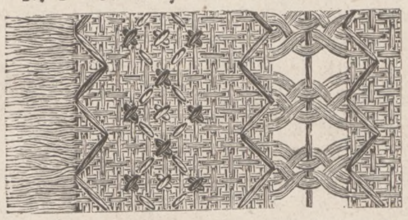
Fason czapeczki układa się z owalnego kawałka sztywnego muślinu 26 cent. długiego a 25 szerokiego, którego brzeg po sfałdowaniu do 46 centym. stanowi boki czapeczki z przodu 7 z tyłu 5 cent. wysokie u dołu, oszyte z wierzchu drucikiem. Pokrycie z kawałka batystu 20 cent. szerokiego a 40 długiego układa się w siedm fałd po 1 centym. szerokich. Przybranie dane z plisowanych fałbanek batystowych, oszytych walansjenką; do dołu idzie falbanka 2 cent. szeroka oszyta 1 cent. szeroką koronką, w górze zaś odwrócone falbanki po 3 cent. szerokie z szerszą koroneczką. Na szwie dana wąziutka riusza przyciśnięta w środku sutaszem. Z boku przyszyta okrągła fałdowana rozeta.



N. 4—6. Trzy serwetki.



N. 9. Kapelusz opasany chusteczką dla małej dziewczynki.



N. 7. Kratka ażurowa do ryc. 6.



N. 13. Płaszczyk podróżny z pelerynką. Patrz ryc. 14. Krój na arkuszu Nr XII, Fig. 29.



N. 10. Suknia z upięciem à panier. Patrz ryc. 11.



N. 12. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Krój na arkuszu Nr I, Fig. 1—5a.



N. 11. Suknia z upięciem à panier. Patrz ryc. 10.



N. 14. Płaszczyk podróżny z pelerynką. Patrz ryc. 13.



N. 15. Ubranie wizytowe do lekkiej żałoby. Patrz ryc. 16.



N. 16. Plecy do ryc. 15.



N. 19 Rękaw do sukni z odwijanym mankietem.



N. 21. Bucik spacerowy z deseniowego atłasu z szerokiem obłożeniem ze skóry.



N. 20 Rękaw z podwójnym mankietem.



N. 18. Plecy do ryc. 18.



N. 17. Ubranie wizytowe ze stanikiem z odmiennego materyału. Patrz ryc. 18.

N. 5. Chusteczka zdobna wstążką.

Odrobiona jest z tiulu i koronki modnego żółtego koloru, dla nadania którego białą koronkę trzeba płukać w kawie, herbacie lub w wodzie z szafranem. Na chusteczkę potrzeba prostego kawałka tiulu 94 cent. długiego a 40 — 50 szerokiego, w jednym końcu zaokrąglonego a w około oszytego marszczoną koronką 7 cent. szeroką. Prosty koniec przez założenie fałdów zwężony jest do 4 cent. fałdy te dane są w około szyi na 50 cent. długości, koniec zaś zaokrąglony, stanowiący żabot, przemarszczony jest w odstępie 20 cent. od dołu. Wstążka atłasowa blado żółtawa 2 i pół c. szeroka i bukiecik bratków lila stanowi przyozdobienie.

N. 6. Chusteczka z irlandzkiej koronki. Deseń na arkuszu pod N. 4 i na Fig. 33.

Upięcie chusteczki nie wymaga żadnego opisu; odrobienie zaś koronki irlandzkiej wskazane z całą dokładnością na deseniu Nr 4, a dalszy ciąg deseniu na Fig. 33.

N. 7. Sukienka z paletocikiem dla młodej panienki.

Przybranie sukienki skromnej przedstawionej na ryc. 7 stanowią złote okrągłe guziczki i $1/2$



N. 28. Bluza grecka jako kostjum kąpielowy. Deseń na arkuszu Fig. 35.

centym. szeroka wełniana plecionka która przy ciemnych sukniach może być czarna a przy jasnych ciemniejsza. Spódniczka z przodu i z boków zaplisowaua w fałdy 3 cent. szerokie i przestębnowana kilka razy, dopełniona jest z tyłu prostym podpinanym brytem. Patki naszyte wzdłuż plisowania z boków sukni liczą 39 cent. u dołu a 10 w gòrze. Długi paletocik odrobiony jest środkiem pleców i przodów naszyciem w zęby plecionki; naszycie z przodu tworzy rodzaj plastronu zapiętego środkiem na guziki a u dołu związanego wstążką podług ryciny 7.



N. 22. Ubranie czarne z pelerynką pod włosy. N. 23. Ubranie kąpielowe dla dziewczynki lat 7—9.



N. 24 — 26. Trzy prześcieradła kąpielowe.



N. 29—30. Kostjumy kąpielowe.

N. 8. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki.

Odrobiona jest z jasno popielatego beżu przerabianego z nitką kolorową i ozdobiona ponsową wypustką. U dołu sukienki dane plisowanie 12 cent. szerokie; przód zaszyty jest w zakładki odznaczane wypustką: guziczki z konchy perłowej.



N. 27. Ubranie spacerowe garnirowane koronką. Kroj tuniki na arkuszy Nr XI, Fig. 28.

N. 9. Sukienka z fartuszkiem nakształt tuniki.

Spódniczka zaplisowana w całej długości i gładki wycięty staniczek bluzkowy dopełnione są fartuszkiem zastępującym tunikę, który z przodu wycięty jest w jeden a z tyłu w dwa zęby, u góry przymarszczony i wszyty w pasek, do którego z drugiego brzegu wszyte są bretelki. Garnirunek stanowi 4 cent. szerokie plisowanie i szlaczek wyszyty krzyżykami. Sukienka może być biała lub kolorowa, w tym ostatnim razie pasek i kokarda przy fartuszku powinny być z wstążki tego co suknia koloru. *(d. n).*



ziel., biały, żółty, różowy

N. 36. Deseń wyszycia na kanwie.



N. 31. Czepek kąpielowy.

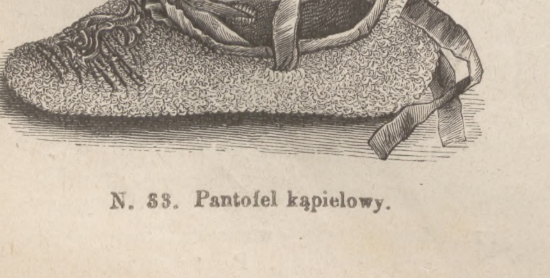


N. 32. Czepek kąpielowy. Krój na arkuszu F. 19.



ponsowy, zielony, biały

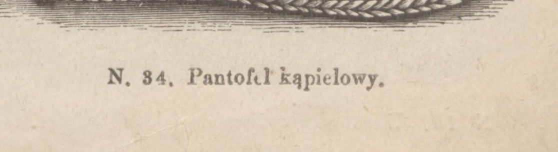
N. 37. Deseń wyszycia na kanwie.



N. 33. Pantofel kąpielowy.



N. 35. Płaszcz kąpielowy. Krój na ark. Nr XV, Fig. 32.



N. 34. Pantofel kąpielowy.